AS



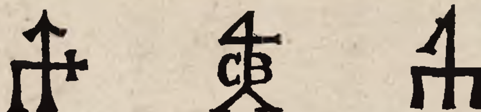
Nr. 51
19 GRUDNIA 1937

W BLASKU AMERYKAŃSKICH JUPITERÓW...

Joan Fontaine, młoda artystka francuska, która



PATRON ZŁOTNIKÓW



Gmerki złotników z początku XVII wieku znajdują się na „tablicy wotywnej" przedstawiającej pracownię św. Eligjusza.

Na lewo: Św. Eligjusz, — obraz olejny z XVIII wieku — strój z nałożonej złotej blachy.

Od czasów średniowiecza we wszystkich prawie krajach zachodnio-europejskich, a także i w Polsce każdy prawie zawód, każde większe stowarzyszenie, czy nawet luźna grupa ludzi, o wspólnych zainteresowaniach i celach, posiada swego świętego patrona. Najczęściej za patrona wybierano członka swego zawodu, który dzięki swemu świętemu i bogobojnemu życiu wyniesiony został przez Kościół na ołtarze. Największą czcią i popularnością, jeśli tak można powiedzieć, cieszyli się i cieszą dotychczas patron rycerzy — św. Jerzy, patron żeglarzy i podróżujących — św. Krzysztof, patron myśliwych — św. Hubert, cieśli i stolarzy — św. Józef, straży ogniowej — św. Florjan, patronka muzyków i śpiewaków — św. Cecylja, wreszcie patron złotników, mincerzy, kowali i wszystkich rzemieślników „grupy metalowej" rzemiosł, których głównem narzędziem pracy jest młotek — św. Eligjusz.

Złotnictwo w dawnej Polsce było bogate i wysoko cenione, cieszyło się poparciem prawie wszystkich królów polskich, z których ostatni Jagiellonowie znani byli w całej Europie jako wielcy miłośnicy klejnotów. Zygmunt III Waza, z pomocą swego doradcy, starosty krzepickiego, Mikołaja Wolskiego, urządził sobie nawet na Wawelu pracownię złotniczą, w pobliżu „Kurzej stopki", zwaną „Alchimją", w której bawił się złotnictwem, a wykonane przez niego srebrne przedmioty jeszcze dziś znaleźć można w muzeach i skarbcach kościelnych. Złotnicy nie dopuszczali do swego grona innowierców, pilnie przestrzegali praktyk religijnych i wierzyli w pomoc swego Św. Patrona, stąd też i kult św. Eligjusza w dawnej Polsce był bardzo żywy. Prócz złotników również pobożny lud polski w swych kłopotach materjalnych zwracał się z modlitwą do św. Eligjusza, któż bowiem jak nie święty Złotnik i Mincerz mógł lepiej zaradzić brakowi złota i pieniędzy! Dlatego też św. Eligjusz był również w dawnej Polsce czczony jako „patron potrzebujących pieniędzy". „A tych chyba nigdy nie brakowało! — jak pisze ks. E. Majkowski, który niedawno znalazł obrazek ludowy z wizerunkiem św. Eligjusza jako „patrona złotników i potrzebujących pieniędzy".

Kult św. Eligjusza przyszedł do Polski z Francji, gdzie tamtejsi złotnicy pierwsi przyjęli swego rodaka za patrona, a najżywiej objawiał się on w Krakowie, w siedzibie pierwszego, najbogatszego i najlepiej zorganizowanego cechu złotniczego. Złotnicy krakowscy, dla swego wyłącznego użytku posiadali w kościele O. O. Franciszkanów kaplicę, zwaną „węgierską", którą obficie wyposażyli w sprzęt liturgiczny i całe urządzenie. W tej kaplicy gromadzili się co niedzielę i w święta wszyscy złotnicy z rodzinami i uczniami, specjalnie przestrzegając nabożeństw ku czci swego patrona. Opierając się na wydatkach krakowskiego cechu złotniczego, zrekonstruowano przebieg nabożeństwa ku czci św. Eligjusza w XVIII wieku. Jak z opisu tego widać, nabożeństwo to było bardzo wystawne: „Z wieży franciszkańskiej, dziś nieistniejącej, trębacze dawali sygnał rozpoczynającego się solennego nabożeństwa, częstokroć przyłącza się do nich „paukierz", który również w bęben uderza w tym celu. Ołtarz jarzył się mnóstwem świec, gorzały lampy i lampki a kaplica, obita makatami, przedstawiała uroczysty wygląd — wreszcie zapach ziela i trociczek lub kadzidła drażnił przyjemnie zmysł powonienia. Szczególniej przyozdobiony okazywał się obraz św. Eligjusza". „Przy podziękowaniu po nieszporze" cech przesyłał do klasztoru „dla WW. OO. Franciszkanów garncy wina 4". Następnego zaś dnia złotnicy udawali się na „mszę św. reliquialną w dalmatykach i z kapelą".

O niezwykłej czci dla św. Eligjusza świadczą również liczne przywileje, uzyskane



Na lewo: „Pierścień obesłania" z r. 1614 z wizerunkiem św. Eligiusza służył starszemu cechu złotników do zwoływania członków cechu na zebrania.

u Stolicy Apostolskiej dla kaplicy złotniczej, jak np. w r. 1472 sto dni odpustu na dzień św. Eligjusza (1 grudnia) a w r. 1749. 10 lat zupełnego odpustu dla tych, którzy w pierwszą niedzielę po św. Janie Chrzcicielu „odwiedzą kaplicę św. Eligjusza w kościele O. O. Franciszkanów".

W połowie XVIII w. złotnicy krakowscy uzyskują relikwje swego św. Patrona, dla których sprawiają piękny relikwiarzyk.

Po nabożeństwie ku czci patrona, odbywała się wspólna biesiada, przeważnie na koszt cechu, w czasie której „zastawa stołu biesiadnego musiała być suta, nie brakowało jadła ni napitku, a błazenek-dudziarz, jako nieodzowny wesołek średniowiecznej uczty, przygrywał wesoło na kobzie, to znów żartem pobudzał brać cechową do wesela i śmiechu". Złotnicy krakowscy nie tylko nabożeństw ku czci św. Eligjusza przestrzegali, starali się również poznać jego życie, by na niem się wzorować. W roku 1687 złotnik Jan Geypler wraz z synem swym Kazimierzem wydali „Żywot św. Eligjusza, biskupa Nowiomeńskiego, apostoła Flandrji, patrona zgromadzenia złotniczego". A niezwykle ciekawy i godny naśladowania był żywot św. Eligjusza, opisany również dokładnie przez jego przyjaciela arcybiskupa w Rouen, św. Uwo.

Św. Eligjusz urodził się w r. 588 w małej wiosce Chatelac w południowej Francji. Matce jego przed narodzeniem syna przyśnił się olbrzymi orzeł, który nie tylko nie czynił jej krzywdy, lecz okazywał jakby cześć i uszanowanie. Ponieważ znajomy duchowny wyjaśnił sen w ten sposób, że syn, którego urodzi, będzie wielkim sługą Bożym, nowonarodzonemu nadany imię Eligjusz od słowa „eloi", które w ówczesnem narzeczu francuskiem znaczyło orlisty, według innego zaś tłumaczenia — wybrany. Po starannem wychowaniu domowem, z powodu ubóstwa rodziców, Eligjusz oddany został na naukę do złotnika Abbona w pobliskiem Limoges. Po wydoskonaleniu się w zawodzie złotniczym, Eligjusz udał się do Paryża, gdzie panujący w tym czasie król Kloterjusz powziął myśl sporządzenia sobie wspaniałego tronu ze złota. Za namową swego podskarbiego Bobbona, król polecił wykonanie tego tronu młodemu złotnikowi Eligjuszowi i oddał mu na ten cel

Dokończenie na str. 20-tej

Poniżej: Tablica „wotywna" złotników z roku 1609 wykonana w złotej blasze miedzianej.





Pieczęć cechu złotników i jubilerów w Krakowie.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ RACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
...TALNA 4 ZŁ. 50 GR.

...mny 275 mm. — Szerokość kolumny ... szerokość łamu 63 mm. Cała stro... ...e 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe ... prócz zasadniczego. Żadnych ... ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 51 **Niedziela, 19 grudnia 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 51-GO

Kolejka linowa na Kasprowy Wierch umożliwiła nietylko stworzenie doskonałej bazy dla naszego narciarstwa zjazdowego, ale równocześnie udostępniła ten szczyt ludziom nauki, którzy na nim wznieśli pierwsze u nas wysokogórskie obserwatorjum meteorologiczne, badające warunki atmosferyczne i opadowe dla celów praktycznych oraz prowadzące pomiary ściśle naukowe. Obserwatorjum na Kasprowym funkcjonuje jako oddział P. I. M. *Fot. dr. A. M. Wieczorek — Zakopane*

Od INCROYABLE'A DO DANDYSA

Nie każdemu danem jest wybić się w życiu, ponad szary tłum rozumem, odwagą, nauką lub talentem, zwłaszcza, jeśli tych zalet nie posiada. Co pozostaje tym, którzy nie potrafili zgromadzić niezbędnych w życiu zasobów nauki, a wszelka praca, każdy wysiłek umysłowy, czy też fizyczny napawa ich nieprzezwyciężonym wstrętem i odrazą; jednak mimo tych braków chcieliby wsławić się w jakikolwiek sposób? W powieściach i sztukach teatralnych „dobrze skrojony frak" zastępował zalety i talenty. Jednak i w życiu byli ludzie, którzy wzbudzali zachwyt węzłem swego krawata, zdobywali szacunek kolorem kamizelki, a uznanie i powodzenie formą kapelusza. Staranność w ubiorze, tam gdzie środki materjalne na to pozwalają, jest zupełnie słuszną i zrozumiałą. Nie powinna ona jednak stanowić celu życia. Staranność taka, nawet posunięta do wykwintu, nie ma nic wspólnego z przesadną elegancją zawodowców w ubiorze, którzy nadzwyczajnemi, często nawet śmiesznemi pomysłami, starają się zatrzeć braki swej biednej umysłowości. Dla takiego eleganta przesada, przekraczanie miary, aż do zupełnego zatracenia dobrego smaku, jest rzeczą zwykłą. Bywa dopiero wówczas zadowolony, jeśli zwrócił na siebie uwagę. Ma jedno marzenie, jedną ambicję: Zadziwić.

Typ tego rodzaju pojawia się we wszystkich czasach i epokach, jednak może najbardziej rozpowszechnionym był w zeszłem stuleciu we Francji, a zwłaszcza w Paryżu. Już na dworze Ludwików mody męskie doprowadzane były do niezwykłego wyrafinowania tak, że niemal cała Europa ulegała ich urokowi. Wytworny światowiec-dworak pudruje włosy i wydrwiwa wszystko, nie wierzy w nic, twierdzi, że świat potrwa chyba tak długo, jak długo on sam trwać będzie. Tymczasem wybucha rewolucja. Skończył się stary świat.

Gdy szalał teror, a gilotyna pracowała sprawnie, rozlewając potoki krwi, dobre ubranie i porządny wygląd prowadziły wprost do więzienia, lecz skoro niebezpieczeństwo minęło, pojawiają się na ulicach przerażonego Paryża wytworni młodzieńcy, obficie uperfumowani piżmem.

By dowiedzieć się o ich zamiarach i dążeniach, trzeba zajść do modnej kawiarni „Mała Koblencja" tak nazwanej przez pamięć dla miasta, w którem tylu emigrantów znalazło chwilowy przytułek, i przyjrzeć się elegantom, zbierającym się tam celem spiskowania przeciw znienawidzonym siepaczom. Przy wejściu, nieznacznym ruchem ręki zmienia się trójkolorową kokardę przy kapeluszu (emblemat republikański) na białą — królewską. Prawdziwie modny elegant kłania się wysuwając głowę jak najbardziej poziomo naprzód, przyczem wyciąga szyję, jak gdyby kładł głowę w okienko gilotyny. Ukłon taki nazywa się „ukłonem skazańców". Nosi długie włosy zwłaszcza z boków, po obu stronach twarzy. Tego rodzaju uczesanie nazywa się „psiemi uszami" i ma być protestem przeciwko krótko ostrzyżonym głowom rewolucjonistów.

Różne szczegóły ubrania miały swe znaczenie antyrewolucyjne: i tak noszono przy długich, wciętych w pasie surdutach osiemnaście metalowych guzików, jako symbol wierności wygnanemu królowi Ludwikowi XVIII-mu.

W ręku miał elegant ówczesny, zamiast laski, grubą drewnianą pałkę, dziwacznie powyginaną, do obrony na niezbyt pewnych i bezpiecznych ulicach.

W pewnych epokach szczególnie tragicznych, trzeba wiele odwagi, by czesać się w sposób specjalny lub nosić kamizelkę, której kolor głosi przekonania polityczne właściciela i może przynieść mu wyrok śmierci. Czarny aksamitny kołnierz przy surducie oznaczał żałobę po minionym reżimie i narażał eleganta na niebezpieczeństwo.

„Po kim nosisz żałobę obywatelu?" pyta drwiąco srogi jakobin właściciela czarnego kołnierza. „Po tobie" — odpowiada krewki młodzian i silnem uderzeniem pałki rozciąga go martwym na ulicy.

„Dlaczego nie zdejmiesz czarnego kołnierza?" pytano eleganta. „A dlatego — odparł — że jeśli ustąpię i zmienię barwę kołnierza, mogą ode mnie zażądać, bym zdjął surdut, potem kapelusz, a na ostatek sami zdejmą mi głowę".

A NOBLE DUKE
taken on the Steyne at Brighton

Dandyzm uprawiany przez podeszłych wiekiem gentlemanów — to cecha arystokracji angielskiej.

Poniżej: Taniec pozwala współczesnym elegantom wykazać gracją swych ruchów i zabłysnąć wytwornością postawy.



Młodzież ówczesna bardzo ruchliwa i wojowniczo nastrojona, tropiła ostatnich zwolenników i wykonawców teroru i brała udział prawie we wszystkich rozruchach ulicznych z czasów Dyrektorjatu.

To była w pewnej mierze heroiczna strona ówczesnej historji mód męskich.

— — — — — — — — — — —

Istniały dziwne zboczenia dobrego smaku. Bo oto w pierwszych latach zeszłego stulecia, by stać się prawdziwym elegantem, trzeba było udawać kalekę. Frak, jedyny i właściwy strój modnego młodzieńca, musiał mieć bardzo krótki stan, a plecy tak umiejętnie wypchane, by dawały właścicielowi wygląd garbusa. Krawat olbrzymi otacza grubemi zwojami szyję, tak, jakby ukrywał potworne wole, a przytem dochodząc prawie do samych ust, zasłania zupełnie brodę. — Nankinowe spodnie muszą tak być uszyte, by wykoszlawiały nogi.

Podwójne szkiełka w oprawie złotej, noszone w ręku, a które elegant bezustannie trzymał przed oczyma, dają mu pozór na pół ślepego. Poza tem modny młodzian musiał udawać, iż szalenie cierpi na reumatyzm, ischias lub tym podobne choroby, co zresztą nie przeszkadzało mu tańczyć po całych nocach. Mówił omdlewającym głosem, a większą część twardych liter opuszczał w swej mowie. Mimo to przemaszerował przez całą Europę wraz z armją wielkiego cesarza i ginął na polach bitew z imieniem Napoleona na ustach.

Był to typ prawdziwego „Incroyable'a".

Po upadku cesarstwa, wielu emigrantów, którzy przebywali w Anglji, przywieźli, powróciwszy do swej ojczyzny, angielskie mody. A wówczas po drugiej stronie kanału panował niepodzielnie wielki Brummel. — Przyjaciel ówczesnego ks. Walji, późniejszego króla Jerzego IV, Brummel potrafił zyskać sławę człowieka, najlepiej ubranego swych czasów i stać się bohaterem chwili. Jego kaprysy stanowiły prawa w dziedzinie mody męskiej i dziś jeszcze krawcy londyńscy powołują się na jego powiedzenia. Dziś jeszcze niektóre, przez niego ustanowione reguły, mają pełne zastosowanie. Od niego począwszy, stolicą mody męskiej stał się Londyn, detronizując wszechwładny dotychczas w tej dziedzinie Paryż.

Przez dwadzieścia dwa lata Brummel dyktował Anglji, a pośrednio całemu cywilizowanemu światu swe prawa, narzucał swój gust i swój styl, aż wreszcie przyszła klęska. Ufny w długotrwałą przyjaźń ks. Walji, popełnił pewnego razu grubą niewłaściwość i przeciągnął strunę. Podczas pijackiego wieczoru, który wydał dla swych przyjaciół, gdy wszyscy już byli pod dobrą datą, zwrócił się do księcia ze słowami: „Jerzy zadzwoń na służbę". Gdy weszli lokaje, Brummel rzekł im, wskazując na księcia: „Zabierzcie tego pijaka i położcie go spać". Ten brak szacunku dla królewskiego syna wywołał ogólne oburzenie. — Dotychczasowi przyjaciele odwrócili się od niego i długoletni dyktator mody i dobrego tonu znalazł się bez środków do życia. Na tem też tle Brummel popadł w chorobę umysłową, której epilogiem stała się śmierć arbitra elegantiarum w zakładzie dla obłąkanych.



Zanim elegant z czasów dyrektorjatu mógł ukazać się w „świecie", przechodził, jak nam ukazuje współczesna karykatura, niezliczone tortury!



Typy incroyables'ów z lorgnon i przesadnemi kołnierzami (według starego sztychu).

Brummel miał wielu naśladowców. Niektórzy z nich potrafili dojść do pewnej nawet chwilowej sławy, inni poszli w niepamięć.

Pomysłowi Brummel'a zawdzięczamy ubranie frakowe, które ze stosunkowo niewielkiemi zmianami przetrwało aż do dzisiaj. Jego naśladowcy, wybitni dandysi, starali się kroczyć śladami mistrza i niektórym z nich udało się wynaleźć nowe formy ubrania męskiego, które przeszły do historji sztuki krawieckiej wraz z nazwiskami wynalazców. Tak naprzykład pewnego wieczoru lord Spencer, przyjaciel serdeczny Brummel'a, ukazał się we fraku o jednej tylko pole. Ten ekscentryczny strój wzbudził zaciekawienie wśród elegantów. Ale już nazajutrz lord-dandys obciął i tę jedyną połę, dając potomności nowy rodzaj ubrania, który rozpowszechnił się do tego stopnia, że przeszedł do stroju ludowego i dotarł nawet do Polski. Na Mazowszu i Kujawach mężczyźni nosili barwne „spencerki", nie przypuszczając nawet, iż ten strój zawdzięczają pomysłowi ekscentrycznego lorda.



Zupełnie inną linję niż u dandysów XIX wieku posiada sylwetka współczesnego eleganta.

Inny dandys lord Raglan wykombinował nowe wszycie rękawów, które do dziś dnia utrzymało się przy zarzutkach sportowych.

Jednak największy polot fantazji przejawiali dandysi w formach czy też kolorach kamizelek. W prywatnem muzeum pewnego londyńskiego domu krawieckiego, którego firma istnieje już przeszło sto lat, znajduje się około tysiąc osiemset kamizelek różnego kształtu i koloru, wykonanych z najróżnorodniejszych materjałów. Kamizelki te pochodzą z pierwszej połowy zeszłego stulecia i należały do najwybitniejszych dandysów.

Dziś sport zmienił gruntownie zainteresowania młodzieży. Moda męska zdemokratyzowała się zupełnie. — Nowemi pomysłami w tej dziedzinie zajmują się wyłącznie fachowcy: krawcy, wytwórcy materjałów, producenci konfekcji. Wysportowana, pełna tężyzny młodzież szuka wyższych ideałów, a jednostki, które ekscentrycznym strojem chcą zadziwić tłumy, wywołują zwykle tylko przejściowe zaciekawienie. Rzadko kiedy stają się dyktatorami mody.

Tadeusz Abdank Piotrowski.



Oto obrazek karnawałowy z początku XIX w., uwidaczniający w karykaturze przesadną elegancję. (Według starego sztychu angielskiego).



Na lewo: Czarodziej indjański w godowej szacie „peyotlowej".

PEYOTL — KLUCZ DO KRAINY MARZEŃ

W swej słynnej powieści zatytułowanej „A rebours" (Na opak) Józef Karol Huysamans opisuje niesamowite wizje i halucynacje, jakie stwarza sobie bohater jego des Esseints przy użyciu esencyj, które rozpyla w swym pokoju i „korzeni", które żuje. Podobnie i Karol Baudelaire, jeden z najwybitniejszych poetów francuskich 19 wieku, autor książki „Kwiaty zła", opisuje w swych „Rajach sztucznych" (Paradis artificiels) niezliczone odmiany „korzeni" i „ziół", które pozwalają ludziom na ucieczkę od szarej jałowej rzeczywistości w krainę cudnych marzeń i upojeń.

Cały szereg pisarzy od Thomasa de Quincey począwszy a na Claude Farrerze skończywszy, sławiło w swych powieściach magję i urok działania opjum, które w tak łatwy a wydatny sposób unoszą fantazję ludzką na bajeczne wyżyny i w zaświaty. Quincey twierdził n. p., że wystarczy wymówić mu słowo „Consul romanus", aby w tej chwili znaleźć się w atmosferze starożytnego Rzymu.

Niestety używanie opium, podobnie, jak i innych ekstraktów, dokonywanych przez współczesną chemję — jak heroina, morfina, wywołują przyzwyczajenie, nałóg, t. zw. stan ciągłej potrzeby (état de besoin). Ten specjalny stan ma swe źródło w przemianie krwi, co z człowieka robi poprostu łachman ludzki.

Mniej groźną w skutkach aniżeli opium, morfina, laudanum i eter, są słynne indyjne, fantastyczne halucynacje, opisane w baśkie konopie „haszysz" prokurujące bajecznach z „Tysiąca i jednej nocy".

Ojczyzną „magicznych" roślin i „cudownych ziół" i korzeni prawdziwie egzotycznych, jest właściwie Ameryka Południowa. Coca, huachuma, yaże (yage), hualtoaya — huesca, które podniecają wyobraźnię w najwyższym stopniu i otwierają nowe nieznane horyzonty dla marzeń.

Największy jednak rozgłos w Europie pozyskało sobie ostatnio „święte zioło" Meksykańczyków „peyotl" mało jeszcze a względnie nie w zupełności jeszcze zbadane przez oficjalną chemję, a które od szeregu wieków znają niektóre szczepy indjańskie Meksyku, nazywając go zielem, które „czyni oczy zachwyconemi". Jeden z wybitnych chemików francuskich Aleksander Rouhier napisał ostatnio obszerną rozprawę o peyotlu, którą czyta się jak jakąś fantastyczną powieść. Peyotl zdaje się potwierdzać przysłowie, że nie należy sądzić z pozorów, bo czyż można sobie wyobrazić coś bardziej niepokaźnego, jak ową roślinę, która przedstawia się jak kupka ziemniaków z różowemi lub żółtawemi „pędzelkami" — przypominająca kaktus. Botanicy nazwali zresztą peyotl „kaktuse bez kolców" (Eschinocactus Williamsi).

Ten niesamowity „kaktus" znajduje się na obszarach wapiennych, pozbawionych zieleni, w pustyniach środkowego i zachodniego Meksyku tuż na granicy Meksyku i Teksasu. Meksykańscy Indjanie (i ci w Stanach Zjednoczonych) konsumują peyotl w postaci wysuszonych plasterków. Podczas ceremonij religijnych, może jeden człowiek spożyć takich dziesięć i więcej plasterków, zgrubsza tylko przeżutych, bo trzeba być sui generis smakoszem, aby móc uporać się z tym „smakołykiem", który nabrzmiewa w ustach, pali w język i pobudza do wymiotów. Rytuał jednak religijny wymaga, aby nic nie okazać po sobie, że peyotl nie smakuje. Legenda indjańska twierdzi, że ten cudowny kaktus bez kolców odkryli bogowie tylko trzem szczepom Cora, Hiuchol i Tepehuana, którzy uciekli przed nieprzyjaciółmi. Istotnie, jak stwierdzają archeologowie, peyotl był znany tym szczepom jeszcze w zamierzchłej starożytności. Podczas podbojów hiszpańskich (w 16 w.) Indjanie nazywali peyotl „boskiem ciałem" (mięsem) i używali go z nadzwyczajnemi rezultatami. Żołnierze, spożywszy go, nabierali niezwykłych sił, nie potrzebując się odżywiać, ani spać, odbywając długie marsze przez pustynie, bez żadnego zmęczenia i to w warunkach najgorszych, bez żadnego napoju. Cztery wieki katolicyzmu w Meksyku przeszły niemal bez śladu, ponad temi dawnemi zwyczajami, jakie pozostały po dzień dzisiejszy w związku z peyotlem, który zażywa niemal boskiej czci.



Przed rozpoczęciem ceremonij religijnych, w których peyotl gra dużą rolę, Jakisi przywdziewają rytualne stroje.



Peyotl przypomina dziwaczny kaktus.

Aby oddać cześć peyotlowi, który uchodzi również za cudowny talizman, szczep Huicholsów maluje sobie na twarzy symboliczny wizerunek peyotlu, podobnie czyni to na swych strojach. U Tepehuanów ceremonjom peyotlowym towarzyszą tańce czary. W Dakocie i Oklahoma Indjanie stosują rytuał zbliżony do ceremonjału chrześcijańskiego, przyjmując peyotl w formie krążków na wzór komunikantów.

Peyotl został zbadany pod względem chemicznym przez Heftera, Kaudera i Spatha, przyczem stwierdzono w nim zawartość innych alkaloidów, pochodzących z anhaliny, a wykazujących pokrewieństwo z morfiną i strychniną. Najciekawszą z tych alkaloidów jest meskalina, która działa na mózg, wywołując w nim bajeczne halucynacje. Autor ostatnio wydanej monografji o peyotlu A. Rouhier nie wahał się zażyć naraz 35 gramów płynnego ekstratu z tej tajemniczej rośliny, aby móc opisać te niezrównane w swej wspaniałości wizje, wywoływane przez peyotl. To, co opisuje Rouhier (a nie ma się powodu wątpić we wiarygodność tego poważnego uczonego) przechodzi wszelkie ludzkie wyobrażenie.

Przebajeczne widoki o niezrównanej fantastycznej piękności, sztuczne słońca o niebywałej mocy świetlnej. Kamienie o przecudnych blaskach, rozbłyskujące tęczą barw, niebotyczne katedry o koronkowej architekturze. Język ludzki najbardziej poetyczny i obrazowy jest zbyt ubogi — pisze autor — aby oddać ten przebajeczny, fantastyczny, niezrównany przepych, to bogactwo i urok magiczny tych wizji olśniewających, jakich doznałem po zażyciu peyotlu. Obrazy o nieporównanej wyrazistości — oświetlone jakiemś żywem światłem. Istny przedmiot ciągłego zachwycenia i upojenia. Procesja barwnych postaci, najbardziej egzotyczne zwierzęta i to wszystko na tle cudownego pejzażu, sceny z innego świata, przedmioty przesycone światłem, aż w pewnym momencie deszcze gwiazd zalewają całą przestrzeń, to znów wytryska bukiet cudnych ogni sztucznych". Ten opis Rouhiera pokrywa się zresztą z opisem innych spożywców peyotlu. Wszystkie te opisy wykazują te same charakterystyczne rysy, jako iż można je szczegółowo badać, ponieważ umysł zachowuje przytem zupełną jasność.

Co się zaś tyczy skutków fizjologicznych tych eksperymentów, to pociągnęły one za sobą tylko zawrót głowy i bezsenność.

Peyotl — zdaniem konsumentów jego i badaczy — nie ma jednak wywoływać owego stanu ciągłej „potrzeby", a więc nałogu narkotycznego — jak n. p. opium i jego pochodne.

Ale nie tylko bajeczne, trudne do opisania wizje sprowadza peyotl, posiada on również właściwości nadnaturalne — co już od wieków stwierdziły szczepy meksykańskie, używające peyotlu; to samo zresztą twierdzą również uczeni, badający działanie peyotlu. Zdaniem ich peyotl użycza zdolności widzenia na daleką odległość w czasie i w przestrzeni, a więc zdolności telepatycznych i proroczych. Autor monografji o peyotlu, A. Rouhier, przytacza sensacyjny przypadek pewnego inżyniera, który będąc „peyotlikiem", mógł widzieć obrazy, powstające w wyobraźni otaczających go ludzi. Kiedy napisano na kartce, w tajemnicy przed nim, wyraz „wilk", inżynier oświadczył natychmiast, że widzi wilka. A kiedy napisano „Henryk IV", w jakiś czas potem inżynier powiedział, że widzi medaljon z wizerunkiem Henryka IV. Wielokrotnie stwierdzono u „peyotlików" zdolności telepatyczne, sny prorocze i możność widzenia przyszłości, jakby w krysztale. Z uwagi na powagę uczonych, którzy to badają, nie ma powodu kwestjonować ich badań.

Dokończenie na str 20-ej.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowszy znaczek belgijski, z portretem córki króla Leopolda III, wydany na cele walki z gruźlicą.

Kilka dni temu odbyła się w Brukseli wielka licytacja zbioru, obejmującego omal komplet znaczków europejskich. Otóż znajdowały się tam wszystkie bez wyjątku najrzadsze znaczki t. zw. „Krakowskiego Wydania", poszukiwane przez najpoważniejszych filatelistów polskich.

Jeden ze zbieraczy krakowskich, pozostający oddawna w stosunkach handlowych z ową firmą mógł stanąć do licytacji i podał ceny (zresztą śmiesznie niskie), za które chciał nabyć kilka brakujących sztuk.

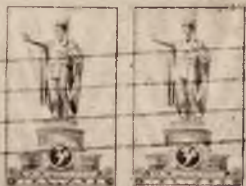
Tymczasem jednak 10-koronówka fioletowa z nadrukiem „Poczta Polska" doszła do pięknej ceny 410 zł (nabyta zresztą przez jedną firmę polską), 10-halerzówka porto do 130 zł, a jedno- i pięcio-koronówki niebieskie (dopłatne) zostały „przybite" przy stawkach po 160 zł. Jedynie znaczek za 30 hal. porto dostał się w ręce krakowskiego zbieracza, ale ten ostatni nie musiał się wcale starać o wyrównanie aż nazbyt taniego rachunku 44 zł, gdyż okazało się, że jest to pospolity falsyfikat Millera.

Rzecz zupełnie jasna, iż każda firma musi przyjąć z powrotem wszystkie egzemplarze, co do których rzeczoznawcy wyrażą swą wątpliwość. W tym też wypadku badanie prof. Milksteina jest najzupełniej miarodajne! Piszemy o tem tylko dlatego, by udowodnić, że w krajach, używających Yverta, panuje zupełna ignorancja co do znaczków polskich. Zwracaliśmy kilka tygodni temu uwagę, że ceny są zupełnie trafne ale chyba dla „Millerówek", co sprawdziło się aż nazbyt prędko. Nie mamy narazie informacji, jakie ceny osiągnęły największe polskie rarytasy, t. j. 10-koronówki porto, a co najważniejsze, czy pochodziły one z tego samego „źródełka".

Co ciekawsze, że owe egzemplarze były prawie wszystkie sygnowane, i to przez Francuzów, którzy więc nie wyszli z tej malutkiej afery bez zarzutu.

Bardzo miłą serję, choć trochę zbyt cukierkową wydała Belgja. Jest to doroczna serja z dopłatami na rzecz zakładów przeciwgruźliczych. Wynoszą one niecałe dwa grosze (5 c.) przy niższych wartościach, ale zato ostatnia za 2,45 plus 2,55 fr. będzie już znacznie mniej dostępna. Trzeba zostawić w albumie miejsce na 8 sztuk za 10,25, 35, 50, 70 c., 1 fr., 1,75 fr. i 2.45 fr. Kolory są bardzo jasne i żywe, format ten sam, co zeszłorocznej serji z następcą tronu.

W. H.



Znaczki Stanów Zjednoczonych, wydane ostatnio dla wysp Hawajskich.

W A L E Z Y

ROMAN BACH-ŻELEWSKI — **SZKIC HISTORYCZNY**

Odgarnął dużym, wskazującym palcem czarnego wąsa, by zapobiec umaczaniu go w napoju, poczem pociągnąwszy parę tęgich łyków grzanego piwa, mlasnął ze smakiem, otarł wierzchem dłoni usta i rozejrzał się po sali. Oświetlona migotliwem, pełzającem jasnemi mackami po ścianach, to znów cofającem się przed zachłanną czernią światłem kaganków i łuczywa była wbrew zwyczajowi prawie pusta. Jeno przy jednym stole siedział poważny szlachcic i trzech młodzieniaszków, którym znać wąs niedawno wysypał, bo coraz to któryś doń sięgał. Stary uniósł się właśnie i z kuflem miodu podszedł.

— Wybacz waszmość. Piotr Arseniewicz klejnotu Korwin sum. A to moi synaczkowie Włodzimierz, Jur i Semko. Chcielibyśmy się do kompanji jeślić można, wprosić.

— Miło mi będzie w tak zacnem towarzystwie czas spędzić, boć człowiek solitudinem nie znosi jak kufel próżni. Krzysztof Charlewski, herbu Bończa, porucznik tatarskiej chorągwi podkomorzego wielkiego koronnego Tęczyńskiego do usług!

— A tośmy lepiej trafić nie mogli, bo waszmość jako blisko dworu stojący niejedno będziesz mógł nam explicare. Bowiem ja nie mogąc wielką niemocą złożon, w czasie koronacji tu przyjechać, a trzeba waści wiedzieć, iż aż zpod Rawy Ruskiej jesteśmy, teraz bodaj chciałem chłopakom świat pokazać i przetrzeć ich trochę między ludźmi. Bo jak to zawsze w stolicy, a szczególnie teraz, gdy król ciągłe turnieje a festy urządza, łatwo jest przyjrzeć się poważnym i przez kraj cały szanowanym senatorom i rycerzom. Ale znać nie jest to nam pisane, bo jenośmy dziś przyjechali, gruchła wieść, że dwór w wielkiej żałobie, bo królewski brat, król Francji pomarł. Zaleciały mnie też słuchy, iż ponoć król nosi się z zamiarem ucieczki. Miałem się jutro wybrać na poszukiwanie znajomków, jako że człek bywały wszędzie ich ma, by się zwiedzieć, co w tem jest prawdy, ale myślę, iż waszmość mi to objaśnić możesz. W głowie mi się nie chce pomieścić: jakże to, król z dobrawoli koronę przyjąwszy, władzy, splendoru i wiernych poddanych miałby odbieżać?

Pan Krzysztof pogładził ciemną czupryne i podumawszy chwilkę, rzekł:

— Chętnie powiem waszmościom, co wiem, ale muszę zacząć ab ovo. Otóż zdawna w świecie widoczna jest emulacja między domem francuskim de Valois a Habsburgami i jeszcze za życia nieodżałowanego króla Zygmunta Augusta Francja, widząc, iż zejdzie on z tego świata bezpotomnie, chciała przez ożenek księcia Henryka d'Anjou z Anną Jagiellonką sprzątnąć tron polski cesarskiej rodzinie zprzed nosa. Wybór padł na Henryka, bo Katarzyna Medyceuszka, matka jego, chciała ukochanego syna uchronić przed nieznającą przeszkód żądzą tronu najmłodszego syna Franciszka d'Aleçon. Tenże też wołał widzieć brata daleko od Francji w chwili śmierci ciężko chorego króla Karola. Ów zaś równie obawiał się Henryka, jak ten Franciszka. Tedy, by wybadać grunt dla onego ożenku, wysłano szlachcica Jana de Balagny — tfy, dziś jeszcze ciężko mi wymawiać te cudackie nazwiska — ale nie zastał on już Zygmunta Augusta przy życiu. Zaraz też do osieroconego tronu jęli zgłaszać kandydatury, co jeden to więcej obiecując, Albert Fryderyk pruski, Jan III król Szwecji, car Iwan Groźny, Stefan Batory, arcyksiążę Ernest Habsburg i Henryk. Wysłał on do Polski biskupa Jana de Montluc, który wnet zjednał dla sprawy Olbrachta Łaskiego, Andrzeja, Jana i Samuela Zborowskich. Mało czasu zbiegło, a stronnikami Walezego stało się sporo wielmożów i moc braci szlachty. Aleć adwersarze nie spali. Rozpowszechnili urbi et orbi skrzętnie dotąd przez Montluca tajoną wieść o rzezi hugenotów w noc św. Bartłomieja, w czem ponoć komendę mieć mieli bracia Karol i Henryk. A choć, jak waszmoście to wiecie, i my swoich dyssydentów mamy, to jednak tolerancją się kierujemy i czyn podobny za niegodny herbowych ludzi byśmy mieli, więc stronnictwo to w proch się rozpadło. Ale tu de Montluc okazał się na podziw tęgą głową i przy pomocy pana Guy de Faur de Pibrac, który choć szlachcic, woli piórem jak mieczem wojować, potrafił zdjąć z Henryka owo odium. Jak waszmościom to wiadomo, ułożono „pacta conventa" i „artykuły henrycjańskie", poczem ruszyły do Paryża posły z godnie okrytym orszakiem prosić Walezego na tron polski. Ja tam nie byłem, jeno mój pociot i od niego to wiem, że ponoć Paryżany nic wspanialszego nad to poselstwo nigdy nie widziały. Wreszcie w styczniu przywiedli Henryka do granic Rzeczypospolitej. Oczekiwaliśmy go tam rojno i strojno, ale sądzę, iż wielu zoczywszy króla, tak jak ja pomyślało, że nie jest to successor godny tronu Piastów i Jagiellonów, ni mąż dla świątobliwej Pani Anny. Z natury błade oblicze, tem bielsze przy czerni francuskiego stroju jeno kołnierzem a mankietami koronkowemi rozjaśnionej, pokryte było różem wcale nie po męsku, w uszach kolczyki a wonnościami gorzej jawnogrzesznicy był zlany. Jakie ciało taki duch, po koronacji też o sprawach państwa i słyszeć nie chciał, jeno całe dni spędzał wśród swych francuskich dworzan, bardziej panienkom jak szlachcie podobnych, tak mieli gęby otynkowane i tyle cudownych koronek w strojach, choć po prawdzie na odwadze im nie zbywało i o lada co ze swemi rożenkami stawali. Myśleliśmy, że się do kraju wzwyczai, ale on zdaje się pojął, iż w Polsce nie będzie mógł na modłę francuską despotycznie rządzić i coraz bardziej niechętny krajowi się stawał. Zamiast więc panować, jął na Zamek dziewki zwoływać, które sprośnemi tańcy jego i dworzan oczy cieszyły.

— Nie może to być! — przerwał stary szlachcic.

— Nie dziwno by było waszmości, gdybyś wiedział, iż na dworze francuskim rzecz to całe zwyczajna i gdybyś słyszał co o królu szepcą ludzie. Ponoć jak prawią, ponietórego z onych gładkogębych Francuzików miał za miłośnicę!

— Toż to jawna obraza Boska, aże słuchać wstyd!

— Wszystko to rozchodziło się po mieście, budząc niechęć do Henryka. Ale przyszedł dzień, który zraził doń kraj cały. Król chcąc się rozerwać, urządzał turnieje i po jednym z nich Samuel Zborowski, powziąwszy do podkomorzego Tęczyńskiego urazę, natknął się nań w bramie zamkowej i rzucił z mieczem w dłoni. Trzeba waszmościom wiedzieć, że miał przy sobie znaczny orszak, przy panu Tęczyńskim byłem jeno ja i kilku rękodajnych, bo reszta naszych była już z Zamku wyszła. Źleby z nami było, ale zacny pan kasztelan Andrzej Wapowski skoczył przed gwałtownika wołając, iż w bliskości osoby królewskiej broń dobywać to gardłowa sprawa. Samuel na nic już niebaczny rozszczepił kasztelana. Skarga poszła na sejm, ale że Zborowscy byli tam silni wielce, król miał rozsądzić. Ten miast na gardle pokarać, jak każe prawo, pomny zasług Zborowskich dla niego, zbrodzienia jeno na banicję skazał, czem godność królewską poniżył i prawo złamawszy, jak najgorszy dał przykład. Stąd wielkie w kraju oburzenie. Teraz senatorzy coraz częściej i stanowczo domagali się potwierdzenia praw i wolności, król jednak odkładał dalej. Nagle, zgoła nieoczekiwanie, w czerwcu jął wspominać o zaślubieniu Anny Jagiellonki i wydawać na jej cześć zabawy. Tymczasem z Paryża przybywali ciągle nowi gońcy, a król wyprawiał z kraju coraz kogoś ze swego francuskiego otoczenia, tak, iż obecnie zostali przy nim jeno de Pibrac, medyk Miron, Villequier i kilku innych. Dziwne to się wszystkim wydało i jęto przebąkwać o

przygotowaniach króla do ucieczki. I oto dziś Walezy, otrzymawszy przez gońca wieść o śmierci Karola IX, powiadomił o tem senatorów i zapewnił, iż nawet otrzymawszy koronę francuską, Polski nie porzuci. I by całkiem ich uspokoić — znać wiedział o pogłoskach — iż o żadnej ucieczce nie myśli, prosił, by towarzyszyli mu, gdy będzie się układał do spoczynku. Tak więc panowie bracia, coście słyszeli o planach królewskich, źródło swe ma w zawiedzionych nadziejach Henryka na despotyczne panowanie, w jego niechęci do spraw państwa i w ubywaniu Francuzów z Zamku.

— Rozumiem ja to dobrze, aleć nigdy nie uwierzę by nad władztwo w Polsce przełożył tron we Francji. Zygmunt August zostawił mu dziedzictwo, któremu w potędze i świetności równego nie znajdzie, najlepszym dowodem, iż tylu królów i książąt chciało tę koronę posiąść.

Chwilę milcząc, trwali wpatrzeni przed się w zamyśleniu. Nagle unieśli wszyscy głowy ciekawie.

— Słysz waszmość, dzwon jakowyś. O tej godzinie?

— Dziwne. To z katedry. Drugi! Święty Andrzej. Teraz znów Najświętsza Panienka! Coraz nowe! Cóż to, gore czy co?

Porwali się z ław i wypadli na ulicę. ciemna noc czerwcowa spoglądała na nich spokojnie migotliwym blaskiem gwiezdnych oczu. W okolicznych oknach jęły się zapalać światła, otwierać z trzaskiem okiennice i ulicę wypełnił gwar niespokojnych głosów. W zgiełk wdarł się suchy odgłos tętentu i wnet ukazał się jeździec, który zdarł konia przed gospodą, aż skry sypnęły zpod kopyt.

— Z rozkazu pana podkomorzego masz waszmość, nie mieszkając, sadzać Tatarów na koń!

— Cóż się stało na Boga? Mówże waść.

— Król uciekł!

— — — — — — — — — — —

Grzmot kopyt tysiąca koni porwał ze snu na nogi mieszkańców wioski. Naciągając na się, co pod rękę padło, rzucili się do okien i drzwi. Zestrachane ich oczy ujrzały pędzącego z gołą głową na spienionym koniu okazałego męża, za nim nakształt fali powodziowej rwącą ścianę jezdnych, od wielmożów po proste rycerstwo. Rozszalałą kawalkadę zamykali zamorskim małpom przez kożuchy na wierzch sierścią obrócone podobni, przywarci do karków swych śmigłych koników Tatarzy. Nim patrzącym wiadomem się stało sen-li to czy jawa, przemknęli jak błyskawica, coraz nowym wsiom i osiedlom niosąc zamęt i trwogę. Skry, kamuszki i grudki ziemi pryskały zpod kopyt, drzewa jeno migały się w oczach. Za panem Krzysztofem gnał chudy, wielce jak na Tatara wysoki Mulej-Aga. Czarne, skośne jego oczy, głęboko osadzone, a przez wypukłość kości policzkowych jeszcze bardziej pogłębione, patrzyły bez wyrazu. Ktoby jednak zajrzał do duszy Azjaty, ujrzałby wielkie zadziwienie nad tym narodem, którego monarcha jak zbrodzień ucieka od władzy, a poddani ścigają, by go do niej przywrócić. Znać Allach niewiernym rozum zmącił! — myśl przerwał mu bolesny stęk konia, trzasnął go więc korbaczem pod brzuch tak, iż w kilku gwałtownych skokach zrównał się z pana Krzysztofowym tarantem.

— Konie nam ustają, Panie!

— Milcz!

— Słucham, Panie!

Mulej-Aga raz jeszcze uderzył czołem i mknął dalej. Ale już wpadli między domy Oświęcimia i w rynku pan Tęczyński osadził konia a wraz i wszyscy.

— Mości Charlewski! Niech Tatarzy poborą konie, gdzie się da!

Na skinienie pana Krzysztofa Tatarzy, przez czas pokoju zawsze tak spokojni i potulni pod jego twardą ręką, teraz jak psy spuszczone ze smyczy z radością rozbiegli się po zajazdach i dworach wyciągając ze stajen wśród lamentu mieszczan i gróźb drobnej szlachty znalezione tam podjezdki. W kilka pacierzy ścigający gnali dalej, choć w mniejszej już liczbie, boć nie dla wszystkich starczyło koni. Na przodzie pędził jak burza i z burzą w sercu pan Tęczyński. Wiedział on, iż jeśli nie dopadnie Henryka na ziemi polskiej to już tylko prośbą będzie mógł go zawrócić. A jeśli ten nie posłucha, to Polska na śmiech innych narodów wystawiona będzie, boć pierwszy to chyba w historji świata wypadek, by król od poddanych jak od zapowietrzonych nocą uciekał. A potem znowu elekcja! Ledwo jeden wstrząs kraj przetrwał szczęśliwie, już nowy się gotuje i poto może tylko, by na tronie zasiadł drugi król niepotem. Gorzkie myśli przerwał mu, zrównawszy się pan Krzysztof.

— Jeno patrzeć jak będzie granica.

— Wiemci ja o tem dobrze i bez waści!

Dopadli Wisły, lecz most przez uciekających był zerwany, rzucił się więc pan Tęczyński wpław, rzucili i inni i na drugi brzeg wychynąwszy, ociekając wodą, rwali dalej. Ale już była granica. Jak huragan minęli oniemiałych z zadziwienia cesarskich pachołków i przebiegłszy koło padłego konia, wnet dotarli do Pszczyny. Ledwo ją zostawili za sobą, ujrzeli karocę mknącą w otoczeniu kilku jezdnych co koń wyskoczy. Uciekający widząc pogoń tuż, stanęli i ze szpadami w ręku czekali, co zobaczywszy pan Tęczyński, wstrzymał towarzyszy i sam pieszo podszedł do kolasy. W jej oknie ukazała się twarz królewska pobladła ze strachu i zmęczenia, wstrętny przedstawiając widok, bo pot gęsto ściekający zmył miejscami róż, plamiąc biel zmiętego kołnierza.

— Wróć Najjaśniejszy Panie, nie rzucaj tak kraju, który szczerem sercem cię przyjął! Spójrz! Siłą moglibyśmy cię przymusić, lecz mimo to kornie błagamy: wróć, spełń obowiązki wobec Polski, któreś na się przyjął!

Henryk spokojny już, odrzekł dumnie:

— Nie potośmy konia na śmierć zajeździli i zdrowie Nasze na szwank narazili, by u celu będąc zawracać. Listy do senatu i szlachty zostawiliśmy w komnacie Naszej... za piecem — dokończył ciszej, czując śmieszność swej osoby.

Skinął ręką i kolasa się potoczyła, zostawiając na drodze przygiętego rozpaczą ku ziemi Tęczyńskiego. Nie tego on ! nie tego Polska cała oczekiwała od pierwszego swego elekta, witając go tak radośnie sześć miesięcy wprzódy!

—o—

AKTOR I JEGO MASKA

Jan Kurnakowicz

Nieraz, oceniając grę aktora w danej sztuce, używamy dość popularnego zwrotu: „miał dobrą maskę". Ale czy zdajemy sobie dokładnie sprawę z tego, na czem ta „dobra maska" polega? Czy tylko na dobrem ucharakteryzowaniu twarzy, na przyklejeniu sobie wąsów i brody?

Oczywiście dobra charakteryzacja jest decydującym momentem w stworzeniu tej, nie innej sylwetki na scenie. Nieraz konieczność jej wypływa z samego już założenia sztuki, z koncepcji autora, środowiska, w jakiem rozgrywa się akcja. Nie do pomyślenia jest, by aktor grał rolę murzyna i pozostał przytem jasnym blondynem, lub był Azją Tuchajbejowiczem z Trylogji... będąc gładko ogolonym. To są podstawowe konieczności charakteryzowania się, wynikające z przyczyn — nazwijmy je — zewnętrznych, jak upodobnienie się wyglądem, widocznemi cechami rasy do odtwarzanej postaci.

Na pierwszy ogień wybraliśmy znakomitego artystę teatrów stołecznych, Jana Kurnakowicza, znanego i cenionego wielce przez krytykę i publiczność właśnie za nadzwyczaj precyzyjne opracowanie odtwarzanej na scenie postaci. Jan Kurnakowicz jest jednym z nielicznych, korzy każdcą ze rluou nych artystów charakterysetycznych, którzy każdą ze swych ról potrafią zagrać zupełnie inaczej, rysując za każdym razem inną sylwetkę i tworząc ciągle nowe, zawsze barwne maski. Ulubionego artystę zapytujemy:

— W czem tkwi tajemnica „dobrej maski" aktora?









1. Lekarz w sztuce: „Ryk byłego lwa". Fot. St. Brzozowski — Warszawa.

3. Dyrektor kabaretu w sztuce: „Nie rzucaj mnie madame". Fot. J. Malarski — Warszawa.

2. Wuj Miecio w sztuce: „Jadzia wdowa". Fot. R. Dereń — Warszawa

A przecież zdarza się, iż aktor „miał dobrą maskę" — choć nie był ani trocnę ucharakteryzowany. — Nie przykleił sobie sztucznych wąsów, nie wyrysował na twarzy dodatkowych zmarszczek. Mimo to zagrał daną rolę zupełnie inaczej w jednej sztuce, skrajnie różnie w innej. Stworzył pewien typ, wyraźnie zarysowany, na jego twarzy widzieliśmy odzwierciedlenie całej gamy rysów charakteru, uczuć i cech wewnętrznych. Taką „maskę" możemy widzieć oczywiście tylko u bardzo dobrego aktora. Aktor o mniejszych zdolnościach, może być nieraz pierwszorzędnie ucharakteryzowany, może nawet swą maską zachwycić publiczność. To dobre wrażenie, uwypuklone w pierwszym akcie sztuki, zaczyna jednak blednąć w następnycn aktach, i wreszcie widzimy wyraźnie, iż na scenie porusza się manekin, z dobrze przyklejonemi wąsami, z pierwszorzędnie zrobioną łysiną, ale nieżywy, autetyczny typ pewnej postaci.

W stworzeniu dobrej maski biorą zatem udział i inne czynniki, nietylko charakteryzacja twarzy. Zagadnieniu temu pragniemy poświęcić szereg artykułów w niniejszej rubryce, zatytułowanej: „Aktor i jego maska", a w której zamieścimy wywiady z naszymi czołowymi aktorami charakterystycznymi.

Jan Kurnakowicz chętnie dzieli się z nami swemi spostrzeżeniami, niemniej jednak rozmowa nasza nie przybiera charakteru naukowej dysputy. Kurnakowicz znany jest ze swej „ciętości" i dowcipu i nie pominie żadnej okazji, by nie wtrącić w rozmowę jakiegoś kalamburu. To też w miejsce bezpośredniej odpowiedzi, słyszę — jakże trafne zresztą — porównanie:

— Widzi pan — mówi artysta — z maską jest tak, jak z winem. W piwnicy stoją rzędem butelki wina, wszystkie nazewnątrz są pysznie ucharakteryzowane, to znaczy, mają na szyjkach kurz i pył kilkuset lat, są, jak to mówią — reprezentacyjnie omszałe. Ale wszystkie te butelki ją jednakie. Dopiero wziąwszy każdą z nich pod światło, przyjrzawszy się owemu „światełku", jakie ma wino, widzimy różnicę, i odkrywamy, które wino jest naprawdę dobre. Tak też jest i z maską aktora. Dobrą maskę da dopiero światło, które idzie z wewnątrz.

— Chodzi więc nie o to, co aktor ma „na twarzy", lecz to, co daje ze siebie, z wewnątrz?

— No tak! Dobra maska, to nietylko twarz inna, ale i ruchy inne, całe zmienione, zachowanie się, nawet krok zupełnie inny. I niech mi pan wierzy, że jest to bardzo trudne. Trzeba się poprostu „odcieleśnić", odrzucić całego siebie, stać się „innym". Problem dobrej maski aktorskiej sprecyzowałbym w takiem krótkiem zdaniu: nie chodzi o to, by aktor się tak ucharakteryzował, by go publiczność nie poznała, lecz by go poznała — innym. Jeśli aktor stworzy na scenie pewien charakterystyczny typ i zrobi to dobrze, to widocznie takim aktor w tej roli się czuje.

— Pozatem — mówi z uśmiechem Jan Kurnakowicz — trzeba pamiętać, iż maska nie jest znowu czemś specjalnem, dostępnem wyłącznie dla aktora! Niema nic tak popularnego na świecie — jak maska!

— ? ?

— No tak. Niech pan uważa: maska balowa. no, ta oczywiście jest naprzyjemniejsza. Maska parafinowa w instytutach piękności... Niemal każdemu człowiekowi można powiedzieć: pan się maskuje...

— Pan jest zdania, że niema ludzi bez maski?

— Tylko... zakocnani są bez maski. Wystarczy spojrzeć po publiczności na jednym seansie, w kinie. Tylko zakochani się nie maskują. Ale.... do czasu. Zobaczymy, co będzie — po ślubie!

Próbuję zaszachować dowcipnego artystę i mówię:

— A jednak są na świecie ludzie, o których się mówi, że są zawsze bez maski: Japończycy.

— Niech pan w to wierzy — odpowiada Jan Kurnakowicz. — Sądząc z komunikatów wojny w Chinach, nie obejdą się nawet Japończycy bez masek... gazowych!!

Romit.

„KRÓLEWSKIE MANEWRY"

HENRYK POTOCKI

SZKIC HISTORYCZNY

W związku z naszemi ostatniemi jesiennemi manewrami warto przypomnieć, że prawie 250 lat temu odbyły się we Francji manewry, które pod względem ilości żołnierzy dorównały naszym, a „pokazowo" przewyższyły znacznie ostatnie manewry niemieckie.

Dzisiaj ćwiczenia, jako namiastka wojny, mają przedewszystkiem cele wyszkoleniowe. Zadania prestiżowo-widowiskowe mają raczej znaczenie drugorzędne. Inaczej było za czasów Ludwika XIV, w r. 1698, kiedy na rozkaz króla zebrano w obozie w Compiègne 60.000 ludzi. Pretekstem była potrzeba pokazania wnukowi królewskiemu, księciu de Bourgogne, obrazu wojny; — celem istotnym — wykazanie Europie, że Francja, mimo długoletniej, świeżo zakończonej pokojem w Ryswick[1]) wojny z koalicją, nie jest wyczerpana i posiada liczną, dobrze uzbrojoną i w każdej chwili gotową do boju armję.

Król zajął się osobiście organizacją obozu: wyznaczył oddziały, które miały w nim brać udział, mianował marszałka de Boufflers głównodowodzącym, ustalił datę, w której stanie własną osobą w Compiègne i wyraził nadzieję, że cały dwór w komplecie będzie mu towarzyszył.

Wszyscy ambasadorowie państw obcych zostali również zaproszeni — w zasadzie bowiem cała feta dla nich przedewszystkiem, jako przedstawicieli Europy, była urządzana.

Nikogo w Campiègne nie zabrakło. Na długo przed przyjazdem króla i dworu było wszystko przygotowane. Zjazd był tak wielki, że — jak mówi Saint Simon — po raz pierwszy książęta-parowie zostali umieszczeni po dwóch w jednym domu.

Cechą, która przedewszystkiem uderzała na tych „królewskich manewrach", był niesłychany wprost przepych. Nic zresztą dziwnego. Ludwik XIV powtarzał kilkakrotnie, że liczy na jak najlepszy wygląd armji. Tego rodzaju życzenie królewskie wywoływało zawsze rujnujące współzawodnictwo. Tak było i tym razem. Wszyscy prześcigali się we wspaniałości strojów, gustowności i bogactwie mieszkań, obfitości wyszukanego jadła i napojów. Cała armja od ostatniego ciury, do najwyższego oficera wystąpiła w nowych, specjalnie na ten cel sprawionych strojach. Każdy z oficerów od najniższych do najwyższych prowadził dom otwarty: przyjmował, wydawał uczty, spraszał gości, dbał tylko o to, aby wystąpić jak najokazalej — bez liczenia się z kosztami. kilkunastu najwyższych oficerów wyróżniło się ogromem swoich wydatków.

Nikt jednak nie mógł dorównać głównodowodzącemu marszałkowi de Boufflers. Saint Simon, chociaż przyzwyczajony do wspaniałości Wersalu, nie znajduje słów na odmalowanie przepychu i porządku, z jakim dwór-obóz marszałka został urządzony W namiotach i świeżo na ten cel pobudowanych, drewnianych domach ustawiono nowe, specjalnie zamówione meble: podłogi przykryto dywanami; na ścianach zawieszono makaty i gobeliny. Wnętrza tych obozowych domów nie różniły się niczem od pałaców i najbardziej wystawnych mieszkań paryskich.

Od godziny 5-ej rano do 11-ej wieczór bez przerwy podawano najwspanialsze potrawy i najbardziej wyszukane napoje. Przez cały czas trwania obozu stała obsługa zapewniała nieprzerwaną dostawę pożywienia. Ze wszystkich stron kraju przychodziła zwierzyna; ryby zawsze świeże, dostarczane były z wybrzeży Normandji, Bretanji, Anglji, Holandji, a nawet z morza Śródziemnego. Napoje, jakie tylko znał ówczesny świat, były zawsze do dyspozycji gości. Nietylko wina i likiery, ale nawet zwyczajna woda[2]) i olbrzymi wybór wód mineralnych były bez przerwy dowożone przez stałą, na czas trwania obozu zorganizowaną obsługę.

Bogactwo i obfitość zastawy stołowej kazały zdumiewać się najbogatszym. Nie było wypadku przez cały czas trwania manewrów, aby stoły były dwa razy jednakowo ubrane. codzienni goście marszałka za każdym razem zdumiewali się przepychem, nowością i wytwornym gustem nakrycia stołów.

Porządek, z jakim ten olbrzymi dwór został zorganizowany, był wprost niewiarygodny. Nie zdarzyło się ani razu, aby musiano czekać. Cała obsługa działała z regularnością zegarka.

Wielcy panowie, mniejsi oficerowie, służba i ciury obozowe znajdowali na dworze marszałka wszystko, na co mieli ochotę.

Gościnność dla wszystkich, grzeczność, wyborna, niespotykana dotychczas organizacja i królewski przepych, nie wykraczający nigdy poza ramy dobrego gustu zapewniały marszałkowi de Boufflers uznanie wszystkich nietylko we Francji, ale i w całej Europie, która długo jeszcze rozbrzmiewała echem tych, jedynych w swoim rodzaju, przyjęć.

Ludwik XIV, który wraz z książętami krwi i całym dworem przyjechał 30 sierpnia do Compiègne, nie mógł znaleźć słów uznania dla marszałka i przyznawał, że nie spotkał się jeszcze z podobną organizacją. Kiedy przyszło do zakładania obozu ks.. de Bourgogne, dla którego oficjalne manewry się odbywały, król zdecydował, że nie warto go organizować, bo wszystko jedno, coby zrobiono nie dorównywałoby marszałkowi.

Był jednak bardzo zadowolony, że de Boufflers wystąpił tak okazale. Zaszczycił go też kilkakrotnie odwiedzinami, a raz był nawet u niego na uczcie z królem angielskim[3]), który na trzy dni przyjechał do Compiègne. Z okazji tej uczty Saint Simon mówi, że to niespotykany w dziejach zaszczyt, aby człowiek prywatny gościł u siebie aż dwóch królów. (Saint Simon nie słyszał prawdopodobnie o Wierzynku).

Przez cały czas pobytu Ludwika XIV w obozie, to znaczy do 22 września, odbywały się właściwe manewry, polegające nie na rozwiązywaniu pewnych zagadnień strategicznych w terenie, lecz na pokazach, musztrach i codziennych rewjach.

Królowi sprawiało specjalną przyjemność pokazywanie damom, dla których było to nowością, całości życia obozowego, a więc: przybycie oddziałów, rozlokowywanie ich, zakładanie obozu, alarmy, wymarsz na nieprzyjaciela, potyczki, konwój jeńców, rekonesanse itd. Pokazy te przerywano musztrami.

Wielką rolę jako najbardziej widowiskowe, odgrywały rewje.

Przed jedną z nich, specjalnie uroczystą z powodu obecności króla angielskiego, zdarzyła się zabawna przygoda.

Szefem dragonji był hrabia de Tessé. Dwa dni przed wspaniałą rewją rozmawiał on z księciem de Lauzun, który jako poprzedni szef dragonji, bardzo się interesował przygotowaniami do przeglądu. Wypytywał więc o wszystkie szczegóły, chwalił, wreszcie zapytał od niechcenia:

„Ale pan nic nie wspomina o kapeluszu? o kapeluszu.

— Ależ nie — odpowiedział de Tessé — będę miał czapkę.

— Czapkę! — podjął Lauzun — cóż pan myśli? czapkę! to jest dobre dla każdego innego, ale czapka u szefa formacji! Panie hrabio, nie myśli pan o tem serjo!

— Więc co? cóż będę nosił"[2])

Lazun dał się długo prosić, wreszcie wyjaśnił, że on, jako ten, dla którego godność została stworzona, zna najlepiej wszystkie dystynkcje; jedną z nich jest szary kapelusz szefa w czasie rewji przed królem.

De Tessé dziękował bardzo za tak uprzejme informacje,, dzięki którym będzie mógł uniknąć poważnego wykroczenia przeciw regułom i zaraz posłał umyślnego posłańca do Paryża po szary kapelusz.

Rano przed rewją de Tessé, podobnie jak wielu dworaków, asystował przy wstawaniu i rannej tualecie króla. Wszyscy ze zdumieniem oglądali jego szary kapelusz z czarnem piórem i wielką kokardą. Wreszcie król zauważył go, a nie znosząc szarego koloru, zapytał de Tessé, skąd wziął ten kapelusz. De Tessé, dumny z sensacji jaką wzbudził, poinformował króla, że kazał go specjalnie sprowadzić z Paryża.

„A poco? — zapytał król.

— Sire — odpowiedział zapytany — dlatego, że Wasza Królewska Mość zaszczyca nas dzisiaj przeglądem.

— No dobrze! — podjął król coraz bardziej zdumiony — ale cóż tu ma do rzeczy szary kapelusz?

— Sire — mówił zaambarasowany de Tessé — dlatego, że szef dragonji posiada przywilej noszenia w tym dniu taki kapelusz. lusza.

— Szary kapelusz! Skądże u djabła wytrzasnął pan tę wiadomość? — pytał dalej król.

— Książę de Lauzun, Sire, dla którego Wasza Królewska Mość stworzyła tę szarżę, tak mnie poinformował.

— Lauzun zakpił z pana — odpowiedział trochę ostro król — niech mi pan wierzy i niech się pan zaraz pozbędzie tego kapelusza".[4])

Cały dwór śmiał się z tego zdarzenia, a biedny de Tessé tak był skonfundowany

[1]) W r. 1697.

[2]) Saint Simon dziwi się przedewszystkiem dowożeniu świeżej wody.

[3]) Jakób II na wygnaniu we Francji.

[4]) Saint Simon umieścił obie rozmowy w cudzysłowie, jako autentyczne.

Dokończenie na str. 14.

PEŁNYM GAZEM!
Fragment wyścigu motorówek w Long Beach


C-135
BLUE STREAK
BLUE STREAK

Dokończenie ze str. 12.

i zmartwiony, że nawet nie obraził się na księcia de Lauzun.

Punktem kulminacyjnym manewrów było oblężenie Compiègne. W skróceniu pokazano cały przebieg oblężenia, wreszcie na dzień 13 września wyznaczony został szturm generalny.

Ludwik XIV z dworem i damami obserwował pokaz z wysuniętego szańca, z którego widać było każde posunięcie szturmujących i obrony. Widzowie oglądali składne akcje poszczególnych oddziałów konnych i pieszych, podziwiali dokładność, żywość i porządek pokazu, w którym brało udział kilkadziesiąt tysięcy ludzi. żołnierze, czując na sobie wzrok króla i utkwione oczy całego jego wspaniałego otoczenia, dawali z siebie wszystko,, a ponieważ nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, dbali tylko o to, aby ruchy ich były jak najdokładniejsze, możliwie najbardziej zbliżose do prawdy, a przytem eleganckie i miłe dla oka.

Wrażenie byłoby jak najlepsze, gdyby nie dziwne zachowanie królewskie, które odwróciło uwagę obecnych od akcji w polu.

Przez cały czas pokazu pani de Maintenon siedziała w zamkniętej lektyce, nie zwracając prawie uwagi na króla, który stał z odkrytą głową — i tłumaczył, objaśniał z uniżonością wszystkie szczegóły akcji. Od czasu do czasu pani de Maintenon odsuwała szybkę lektyki i przez szparkę zadawała królowi pytania, a on nachylał się nisko — ciągle z odkrytą głową — i tłumaczył, bjaśniał z uniżonością prawie. Nieraz nachylony w stronę lektyki mówił przy zasłoniętej szybce i dopiero po pewnym czasie pukał w nią, aby w ten sposób zwrócić na siebie uwagę pani de Maintenon i skłonić ją do odsunięcia

Księżniczki i książęta krwi, damy i cały wspaniały dwór z ciekawością i ze zgorszeniem przyglądali się tym „królewskim manewrom". Był to widok tak niesłychany, tak daleko odbiegający od zwyczajów panujących na dworze, tak nie licujący z godnością wielkieo „Króla-Słońce", że wśród obecnych zapanowała konsternacja. Nie zwracano więcej uwagi na szturm, komentowano tylko ten niezwykły widok. O jego niezwykłości świadczyć może fakt, że oficer ordynansowy przysłany do króla po rozkazy, ujrzawszy swego monarchę stojącego z odkrytą głową i starającego się zwrócić na siebie uwagę kobiety siedzącej w zamkiętej lektyce, zapomniał języka w gębie; stał tylko i bełkotał bez związku, aż zniecierpliwiony Ludwik XIV kazał mu odejść.

Jeżeli obraz ten wydał się tak niezwykły dworakom, stale obcującym z królem, to o ileż większe wrażenie musiał on wywrzeć na żołnierzach biorących udział w szturmie i na tysiącznych rzeszach widzów, przybyłych zewsząd dla podziwiania manewrów. Dla nich Ludwik XIV był uosobieniem wielkości, wspaniałości i majestatu. Nic więc dziwnego, że jak urzeczeni patrzyli na to niesłychane, zupełnie sprzeczne z ich ustalonemi pojęciami, widowisko.

Przez swoją niezwykłość wydarzenie to stało się najważniejszym momentem manewrów — momentem, o którym po skończeniu obozu najwięcej mówiono.. A mówiła nietylko Francja. Cała Europa, która miała oczy zwrócone na obóz w Compiègne i pilnie słuchała wszystkich wieści o nim. Ambasadorowie, którym również zachowanie Ludwika XIV wydało się więcej niż dziwne, nie omieszkali przesłać jak najdokładniejszych relacyj o tem głośnem wydarzeniu.

Mimo tego wypadku, a może właśnie dzięki niemu manewry cieszyły się nadal wielkiem zainteresowaniem. Jedynie damy, którym tak zależało na bytności w Compiègne znudziły się już ciągłemi obrazami wojny, zmęczyły codzienną, obowiązkową jazdą do obozu (mieszkały w najbliższej okolicy) i tak jak przedtem marzyły o wyjeździe do Compiègne, tak teraz z niecierpliwością oczekiwały powrotu do Paryża.

Zresztą obóz zbliżał się ku końcowi. Król ustalił datę swego wyjazdu na dzień 22-go września.

Ostatnim wielkim pokazem była bitwa między pierwszą a drugą linją armji. Pierwszą linją dowodził marszałek de Boufflers, druga — jeden z wyższych oficerów, Rossen. Król z całym dworem i tysiączne rzesze ciekawych oglądali ten wspaniały pokaz walki wręcz. Siły były równe, więc losy „boju" ważyły się raz na jedną, raz na drugą stronę. Ustalono zgóry że po pewnym czasie Rozen, jako pokonany, wycofa się. Tymczasem mijały godziny, a obraz „bitwy" nie zmieniał się. Marszałek de Boufflers wysyłał do swego przeciwnika jednego oficera za drugim — nie pomagało. Rosen uparł się, że on nie będzie tym pokonanym. Nie pomogła nawet interwencja księcia de Bourgogne, asystującego marszałkowi de Boufflers. Musiano wreszcie zwrócić się do króla. Ludwik XIV; szczerze ubawiony tym niezwykłym objawem ambicji, przerwał wkońcu te bezkrwawe zmagania, posyłając Rozenowi rozkaz wycofania się.

Obóz jako całość, spełnił w zupełności swoje zadania. Książę de Bourgogne miał możność zapoznania się w czasie pokoju z obrazami wojny, a Europa chociaż więcej mówiła o królewskim przepychu marszałka de Boufflers i o niezwykłem zachowaniu króla, niż o samych ćwiczeniach, była jednak pod wrażeniem tego niezwykłego objawu potęgi Francji.

Kulisy obozu nie były jednak jasne. Żołnierze i oficerowie musieli ubrać się na własny koszt. Wydatki na przyjęcia pokrywano również z wasnych kieszeni. Nic więc dziwnego, że wiele regimentów „zarżnęło" się finansowo na kilka lat. Król wprawdzie, wyjeżdżając z Compiègne, kazał rozdać nagrody w wysokości 600 fr. dla każdego oficera kawalerji i 300 fr. dla piechoty. Nagrody te stanowiły razem bardzo poważną sumę, dla obdarowanych jednak były kroplą w morzu.

Marszałek de Boufflers otrzymał również nagrodę w wysokości 100.000 fr. Cóż jednak mogła znaczyć ta kwota w porównaniu z miljonami, wydanemi przez niego w czasie trwania obozu. Prawdziwą nagrodą było dla niego uznanie króla i podziw całej Europy

KRAJ ZA GÓRAMI



Na lewo: Ruiny w Devin.

Krajem, gdzie Polak dobrze porozumieć się może własnym językiem i gdzie przyjmowany jest bardzo gościnnie i serdecznie — to Słowacja. Tak blisko nas — a tak mało stosunkowo znana.

Do Słowacji należą wprawdzie Tatry, gdzie wielu Polaków wędruje, ale tam Słowaków prawie zupełnie niema. Są oni domatorami i wolą oglądać wysokie góry raczej z oddali.

Czechosłowacja podzielona jest na cztery, odpowiadające naszym województwom dzielnice (kraje): Czechy z Pragą, Morawy z Brnem, Słowacją z Bratislawą i Ruś Podkarpacką z głównem miastem Użhorodem. ? pośród tych krajów najwięcej walorów turystycznych przedstawia Słowacja w swej malowniczości przyrody, strojów i obyczajów ludowych, bardzo zbliżona do naszej podtatrzańskiej czy beskidzkiej strony.

W Słowacji zwrócić musi przybysz uwagę na doskonale przystosowaną do turystyki, komunikację. Bardzo dobre, choć przeważnie bez trwałej nawierzchni szosy, pozwalają na wygodne dotarcie do ważniejszych centrów. Znakomitą jest podtatrzańska autostrada „Cesta Slobody", a także nowa droga przez „Raj słowacki" od Popradu do Dobszyny. Komunikacja autobusowa, zwłaszcza przedsiębiorstw kolei państwowych (ČSD) jest wygodna, lecz droga. Ruch samochodowy jest bardzo żywy — maszyny nowoczesne, prawie wyłącznie krajowego wyrobu. Część autobusów miejskich Bratislawy pędzonych jest gazem, uzyskanym z przeróbki drzewa.

W trosce o powiązanie ściślejsze tego długiego a wąskiego kraju, budowane są, prócz dróg i linje kolejowe, jak naprzykład niedawno udostępniony, trudny odcinek górski między Breznem a Koszycami.

Dobrze jest rozbudowana regularna ko-



kniejszy szczyt tatrzański. Żałować należy, że handlowe motywy kazały ludziom tak brutalnie wtargnąć w skalne serce Wysokich Tatr. W zimie tego roku będzie kolejka gotowa do połowy trasy, do Kamiennego Stawu (1752 m).

Stolica Słowacji, Bratisława (niem. Pressburg, węg. Pozsony), to stare historyczne miasto, ongiś kronacyjne królów węgierskich, położone nad Dunajem, blisko Wiednia i stosunkowo niedaleko od Budapesztu. Rozbudowuje się ono w gwałtownem tempie, nowocześnie, — jednakże często bez uszanowania zabytków, zwłaszcza w dzielnicy staromiejskiej koło wyniosłych ruin zamku. Wszędzie w mowie i w napisach — uderza trójjęzyczność, wszędzie język słowacki, węgierski i niemiecki. Życie handlowe prawie w zupełności znajduje się w rękach mniejszościowych. Na ulicach i w lokalach publicznych widzi się wielu wojskowych w wyzłoconych mundurach.

Na lewo: Jedna z najpiękniejszych dolin na Słowaczyźnie w okolicy Lubodonia.

Od lewej: Charakterystyczne typy ludu słowackiego, noszącego tradycyjne stroje. — Gazda z miejscowości Piestany. — Strój dziewcząt słowackich odznacza się pięknie haftowanemi stanikami.







munikacja lotnicza, a obfitość lotnisk jest zdumiewająca.

Wiele uroku słowackiemu krajobrazowi dodają, stojące wśród gór i lasów — ruiny zamków, liczne, zwłaszcza w dolinie Wagu i wiele starych kościołów z interesującą sztuką kościelną. Dużo cennych eksponatów z tej dziedziny oglądać można było w doskonale zorganizowanej wystawie słowackiej sztuki kościelnej w Pradze — na Hradczynie w dostojnych gotyckich salach Władysławowskich. Raziła tam jednak muzyka z głośników radjowych, często zupełnie nie harmonizująca z charakterem wystawy.

Niezapomniane wrażenie robi podziemny świat jaskiń, jak Domica, Dobszyńska lodowa jaskinia, a zwłaszcza bajeczne w fantastyczności układu stalaktyków i stalagmi lów i w ogromnych bogactwie barw — męczące jednak swą rozległością i może tempem zwiedzania — Demenowskie groty (jedna z sal nazywa się „Polsky Dom"). Zostały one udostępnione i oświetlone dużym sumptem, a o efekcie świadczy statystyka zwiedzających: w r, 1924 — 2½ tysiąca, w roku 1936 — 32 tysiące osób.

W znanych uzdrowiskach, jak Piszczany czy Trenczyńskie Cieplice, w głównym sezonie tegorocznym był nadmiar gości. Po wybitnem zmniejszeniu się frekwencji w latach ubiegłych, w tym roku przybyli licznie i polscy kuracjusze. Docenia się tam znaczenie sugestji, bo na każdym kroku i na prospektach czy na plakatach i odlaną w bronzie, wykutą w kamieniu i nawet na opasce dla kostek cukru w restauracji — wszędzie widzi kuracjusz postać, łamiącą protezę czy szczudło uskrzydlone.

Imponować może rozmach i umiejętność w prowadzeniu reklamy turystyki, uzdrowisk i to nietylko w kraju, ale zwłaszcza za granicami Czechosłowacji, jak naprzykład we Francji w metro paryskiem. Rosnąca liczba leczących się i zwiedzających obcokrajowców — jest rezultatem tej akcji.

Wielką inwestycją turystyczną jest budowana przez Urząd krajowy Słowacji — kolejka linowa na Łomnicę (2.634 m). Udostępni ona, oszpecając jednocześnie, najpię-



W górach słowackich spotkać można ciekawe okazy stalaktytów. Na naszem zdjęciu wnętrze Demanowskiej groty.



Tańczące pary na zabawie ludowej w Nitrze.

Bardzo miłą jest uczynność, a często serdeczność, z jaką Polak spotyka się na każdym kroku, czy to będzie w klinice uniwersyteckiej od profesora, docenta czy służącego, czy na targu od sprzedającej winogrona Słowaczki, czy od handlarza melonami, Węgra.

W rozmowie z ludźmi różnych sfer społecznych, stwierdziłem, że jeden problem był dla wszystkich frapujący — jak my Polacy potrafimy dobrze współżyć z Węgrami, Rumunją, Niemcami, Anglją, Jugosławją, Italją, Grecj czy Bułgarją i t. d.

Uświadomienie polityczne jest duże — może dzięki obfitości rozmaitych partyj i rozwiniętej dobrze publicystyce.

Spotkałem jednak niestety, w prasie, zwłaszcza czeskiej, artykuły i wiadomości, czasem wręcz fałszywe, o tendencji wyraźnie wrogiej Polsce.

Na całej Słowaczyźnie zwraca uwagę rozmach w rozbudowie szkolnictwa wszelkiego rodzaju, z internatami w większych miastach. Widzi się także planowość i nieżałowanie pieniędzy rządowych, ubezpieczeniowych czy samorządowych — na rozwój szpitalnictwa. Wyróżnia się tutaj swym wzorowym ośrodkiem zdrowia — Trenczyn, sanatorjami — Domnica, Wyżne Hagi, a szpitalami — Bratislawa.

Wśród miast słowackich prawdziwą perłą jest Bańska Bystrzyca, dzięki pięknemu położeniu i sharmonizowanej z zabytkami — nowoczesności. Widać tam pietyzm w ochronie pamiątek dziejowych i dobry smak w iluminacji miasta.

Dobrą przyszłość Słowacji wróży młode, pracowite pokolenie. Słowacy — w przeważnej części — religijni katolicy, dobrzy patrjoci — w trudnych warunkach i na ubogiej, kamienistej glebie wzrośli — idą, zdobywając wiedzę, ciągle naprzód. Bardzo ujmującą jest ich wielka serdeczność i bezwzględna uczciwość.

Polska ma tak wśród starych jak i młodych, wielu przyjaciół.

Szczerze życzymy bratnim Słowakom i Słowacji dalszego postępu i jak najlepszej przyszłości.

Stanisław Ziemnowicz (Kraków).

Tańczy balet BODENWIESER





Fragmenty obrazów tanecznych, demonstrowanych przez balet Bodenwieser w Krakowie.





Specjalny serwis Magazynu „As".

Fot. Dr Azet Kraków.

Zespoły Bodenwieser i Wiesentahl oddawna już reprezentują sztukę taneczną stolicy naddunajskiej w najlepszem wydaniu. To też nic dziwnego, że każdy ich występ zagranicą spotyka się z najżywszem zainteresowaniem i to nietylko publiczności, żywiącej zaufanie do dobrej marki tych zespołów, ale i fachowców, którzy w występach Bodenwieser i Wiesenthal odnajdują prawie zawsze nowe, oryginalne formy tanecznego wyrazu. Obydwa te balety wystąpiły podczas uroczystego pochodu na ulicach Wiednia, urządzonego w ramach obchodu 150-lecia rękodzieła wiedeńskiego w r. 1929 i odniosły wówczas nienotowany sukces artystyczny w rodzinnem mieście. Od tego momentu zaznacza się stały wzrost popularności tych szkół, których hegemonji zagrozić tylko może uczelnia Dalcroze'a, przeniesiona z Hellereau na zamek Laxenburg pod Wiedniem. Powoli jednak ustala się granica i zakres specjalizacji wymienionych szkół, z których Laxenburg pozostaje przy kierunku klasycznym i obsyła przedewszystkiem festivale w Syrakuzach, podczas gdy Bodenwieser nie wyrzekając się reprezentacyjnych form tańca wiedeńskiego, dużo miejsca przeznacza dla kierunków modernistyczych i na równi z Wiesentahl często odwiedza sceny i estrady niemal wszystkich krajów europejskich. W Polsce odbyły się ostatnio w poszczególnych miastach recitale jednego z zespołów szkoły Bodenwieser, złożonego z utalentowanych, świetnie wyszkolonych tancerek, które zademonstrowały program, złożony z ciekawie pomyślanych obrazów tanecznych. Na naszych zdjęciach widzimy kilka ich fragmentów.

REHABILITACJA ALCHEMJI



Na lewo: Marja Curie-Skłodowska w swojem laboratorjum paryskiem.



Poniżej: Następczyni wielkiej uczonej, córka jej p. Jolliot-Curie ze swym mężem.

Dziwne są koleje niektórych nauk. To, co do niedawna uchodziło za niewzruszoną prawdę, po pewnym czasie zostaje zrewidowane i obalone a na miejscu starych teoryj pojawiają się nowe, których żywot jednak znowuż nie jest wieczny. Takie nowe idee bowiem przekwitają i ustępują wkońcu miejsca swoim następczyniom. Nieraz zdarza się także, że po długim czasie następuje rehabilitacja i regeneracja wzgardzonych i niemal zapomnianych już idej, które znalazły się już w lamusie historji. Czyżby z tego należało wyciągnąć wnioski o małej wartości nauki wogóle, skoro jej prawdy są względne i przemijające? Taki pogląd byłby zbyt lekkomyślny i niesłuszny.

Jak daleko pamięć ludzka sięga, istniały próby poznania zjawisk tego świata i ogólnego ich ujęcia. Metody badaczy ulegały różnym zmianom. Dawniej były one zazwyczaj czysto abstrakcyjne i myślowe, nieoparte na żadnych badaniach i doświadczeniach. Pomimo to jednak genjalny instynkt niektórych mędrców nasuwał im nieraz koncepcje myślowe, które w czasach dzisiejszych, gdy stosuje się już inne środki poznawcze, oparte na konkretnych doświadczeniach, dalej zachowują swoją wartość. Mimo więc nawrotu do niektórych idei z dawniejszych czasów, nikt nie ośmieli się jednak twierdzić, że nauka dawniej stała wyżej aniżeli dzisiaj, lub że dawniej była bliższa prawdy objektywnej. Jak już bowiem wyżej powiedziano, dawniej mieliśmy do czynienia tylko z koncepcjami myślowemi a dzisiaj opieramy się na faktach.

Jednym z takich przykładów odżywania niektórych poglądów i idei po wielu wiekach — to alchemja. W najdawniejszych już czasach niektórzy filozofowie greccy, jak Empedokles, Demokryt, Arystoteles, zdołali zauważyć, że pod pozorem niesłychanie zmiennych form wszystkiego, co na świecie istnieje, kryje się w gruncie rzeczy ta sama treść. Innemi słowy, że podstawą całej materji jest jakaś jednolita substancja czyli tzw. „pramaterja". I tylko jakieś uboczne przyczyny powodują, że dana część materji przedstawia się nam w postaci np. kwitnącej rośliny, inna w postaci organizmu zwierzęcego a inna znowu w postaci minerałów.

Wprawdzie Arystoteles za przykładem Empedoklesa rozróżniał w przyrodzie tzw. 4 żywioły, z których wszystko na świecie się składa, tj: ogień, wodę, powietrze i ziemię, ale w rzeczywistości nie wyobrażał sobie bynajmniej, że żywioły te stanowią materjał, z którego wszystko na świecie jest zbudowane. Elementy te były raczej wyrazami pewnych własności fizycznych, które objawiają się w różnych kombinacjach ze sobą, w najrozmaiszych ciałach. Te starogreckie poglądy o jedności wszystkiego, co istnieje, przetrwały i rozkwitły w średniowieczu w postaci tzw. alchemji. Alchemicy wyciągali poprostu konkretne wnioski z tych abstrakcyjnych poglądów, dla celów bynajmniej nie abstrakcyjnych, tylko materjalnych. Jeżeli materja zawarta w tak cennym metalu jak złoto, jest taka sama, jak w lichym np. ołowiu lub żelazie, to przecież musi istnieć jakiś sposób, ażeby tę pośledniejszą postać materji zamienić na szlachetną, innemi słowy zwykłe metale zamieniać w złoto. W czasie, gdy nauka była jeszcze w powijakach, wierzono, że środek do osiągnięcia tego celu, czyli tzw. kamień mądrości lub „eliksir życia" polega na pewnej tajemnicy, która dostępna jest tylko nielicznym wtajemniczonym. Obok alchemików wierzących naprawdę w to, co opowiadali i goniących ciągle za mirażem kamienia mądrości, istniała oczywiście cała falanga oszustów i wydrwigroszów, którzy nabierali naiwnych na sztuczne złoto. Stosunkowo późno przestali ludzie wierzyć alchemikom. Sceptyzm i racjonalizm wieku XVII i XVIII usunęły w cień poglądy rzekomo naukowe o budowie świata i o możliwości przekształcenia jednego metalu w drugi.

Nastał zupełnie inny okres. Chemja od końca XVIII wieku i przez cały wiek XIX rozwinęła się niebywale. Ustaliło się pojęcie pierwiastka chemicznego, jako cegiełki jednorodnej, nie dającej się już rozłożyć na inne składniki, a posiadającego pewne określone własności chemiczne i fizyczne, które oddziaływują i trwają we wszystkich związkach chemicznych, w których skład wchodzi dany pierwiastek. Takich pierwiastków chemicznych jest 92. Innemi słowy, z tych 92 przeróżnych cegiełek zbudowane jest wszystko, co na świecie istnieje a zatem cała materja. Różny wygląd i różne własności różnych ciał zależą właśnie od tego, z jakich pierwiastków one są zbudowane i w jakim stosunku pierwiastki te wchodzą w skład danego ciała. Żelazo nie może nigdy zamienić się w złoto, skoro stanowi zupełnie inny pierwiastek chemiczny aniżeli złoto. A zatem koniec wszystkich mrzonek o transmutacji czyli przemianie pierwiastków! Niema mowy o sztucznem złocie, taksamo jak nie ma sztucznego żelaza. Najmniejsze cząsteczki danego pierwiastka są już niepodzielne dalej i nazywają się dlatego atomami.

Te poglądy naukowe ugruntowane niezliczonemi doświadczeniami i spostrzeżeniami, panowały niepodzielnie do końca XIX wieku. Co więcej, musiały one dość znacznie odpowiadać istotnym stosunkom, panującym w świecie, skoro na podstawie takich teoryj rozwinęła się doskonale rozbudowana nauka chemji i oparty na niej potężny przemysł chemiczny, podczas gdy na dawnej alchemji żaden przemysł oprzeć się nie mógł i co najwyżej kilku wydrwigroszy na alchemji dorobiło się majątku.

Zupełny przewrót nastał w tej dziedzinie, kiedy około 40 lat temu odkryte zostało zjawisko promieniotwórczości i spontanicznego rozpadu niektórych pierwiastków. — Dzięki nieśmiertelnym zasługom Marji Skłodowskiej Curie i jej męża Piotra Curie, odkryte zostały pierwiastki chemiczne, odznaczające się tem, że wysyłały dotychczas nieznane promienie o niesłychanej sile przenikania przez inne substancje, o niezwykłych własnościach fizykochemicznych i leczniczych. Te pierwiastki, nazwane radjoaktywnemi, ulegały samorzutnie przemianom na inne pierwiastki. A zatem to, co według ówczesnej chemji było niemożliwością a czego chcieli sztucznie dokonać alchemicy — działo się w przyrodzie samo przez się bez żadnego wpływu ludzkiego i bez możności zahamowania przez ludzi. Oczywista, że już to stanowiło poważny cios dla teorji o niemożności przemiany pierwiastków. Wiekopomne to odkrycie stało się jednak zarazem jednak podstawą rozwoju zupełnie innego poglądu na budowę materji, a w szczególności na budowę atomów, które, jak się okazało w niektórych wypadkach bynajmniej nie zasługiwały na swoją nazwę „niepodzielnych", bo wprost przeciwnie były podzielne i rozpadały się, tworząc inne atomy. Stopniowo ustalił się nowy pogląd na budowę tych atomów, a mianowicie zaczęto sobie wyobrażać, że każdy atom to pewnego rodzaju system planetarny. W środku znajduje się słońce czyli jądro niesłychanie małe, ale skupiające w sobie całą masę atomów, dookoła jądra zaś w stosunkowo wielkich odległościach, krążą najlżejsze wogóle ciałka na świecie, planety czyli tzw. elektrony, będące zarazem najmniejszemi jednostkami ładunku elektrycznego. Cały taki atom, to właśnie system ciałek elektrycznych, bę-

dących w równowadze. Ile bowiem wynosi dodatni ładunek elektryczności samego jądra, tyle elektronów ujemnie naelektryzowanych krąży dookoła niego.

Ta wielkość ładunku elektrycznego jądra atomowego, była charakterystyczną dla danego pierwiastka, nazwana była liczbą porządkową tego pierwiastka i stanowiła o wszystkich jego własnościach chemicznych. U najprostszego pierwiastka, czyli u wodoru, liczba porządkowa, czyli ładunek jądra wynosił 1; u następnego, t. j. gazu helu wynosił ładunek jądra, czyli liczba porządkowa a zarazem ilość elektronów 2, itd. kolejno o 1 więcej, aż u najcięższego pierwiastka, t. j. uranu liczba ta wynosiła 92.

Cała ta teorja była jednak oparta początkowo tylko na obserwacji rozpadu pierwiastków naturalnych, spotykanych w przyrodzie. Potwierdzeniem całej teorji stał się wiekopomny czyn niedawno zmarłego uczonego ang. Rutherforda, który w r. 1919 zdołał w sposób sztuczny otrzymać z pierwiastka azotu (znanego gazu, zawartego w wielkiej ilości w powietrzu) dwa inne pierwiastki tj. wodór i tlen. — A zatem w sztuczny sposób otrzymano już z jednego pierwiastka dwa inne pierwiastki. Już to jedno odkrycie było dowodem, że nastał nowy okres chemji i że marzenie alchemików zostało właściwie spełnione. Udowodniona została jedność pramaterji. Okazało się, że naprawdę wszystko, co na świecie w postaci materjalnej istnieje, zbudowane jest w podobny sposób i z tego samego surowca. Nastała jakgdyby demokratyzacja chemji. Różnice między t. zw. szlachetnemi metalami a pospolitemi pierwiastkami okazały się tylko ilościowemi a nie jakościowemi i istotnemi.

Co więcej poznano, jakie to są te podstawowe naprawdę ostateczne cegiełki, z których zbudowana jest wszelka materja. Otóż poza elektronami, o których już wyżej była mowa, a które jakgdyby planety otaczają jądra atomowe pierwiastków, samo jądro zbudowane jest z tzw. porotonów, tj. cząsteczek o masie około 1800 razy większej, aniżeli masa elektronu, ale o ładunku elektrycznym równym co do wielkości ładunkowi elektronu, tylko o znaku przeciwnym, tj. dodatnim. W skład jądra atomowego wchodzą jeszcze inne cząsteczki. A więc według obecnego stanu wiedzy przedewszystkiem tzw. neutrony. Są to znowu cząsteczki równe co do masy protonom, ale pod względem elektrycznym obojętne czyli neutralne. Stąd ich nazwa. Prócz neutronów odkryto niedawno jeszcze odpowiedniki elektronów czyli tzw. pozytrony, jako składniki jądra atomowego. Pozytrony mają masę równą elektronom, ale są naelektryzowane dodatnio. Chwilowo jeszcze nie wiadomo, jaki jest stosunek między temi składnikami w jądrze atomowem, czy proton nie jest właściwie już cząsteczką złożoną z neutrona i pozytrona, skoro wartość jego masy i ładunku elektrycznego równają się właśnie sumie tych dwóch składników.

W trakcie tych badań okazało się, zgodnie z przewidywaniami, że chcąc przemienić jakiś pierwiastek w inny, musimy zmienić jego jądro, tj. dodać lub ująć mu czegoś z wyżej wspomnianych składników jądra. — Otóż pod tym względem arsenał broni chemików dzisiejszych wzbogacił się dość znacznie. Bo z jednej strony możemy rozbijać jądra atomów i temsamem przemieniać pierwiastki zapomocą pocisków wydobywających się z naturalnych ciał radio-aktywnych tj. najczęściej zapomocą tzw. cząsteczek alfa, albo też możemy do tego celu użyć strumienia protonów lub też podwójnych protonów, czyli tzw. dentonów sztucznie uzyskanych. To sztuczne źródło protonów jest jednak daleko słabsze aniżeli naturalne i jego energja musi być „wywidowana" do znacznej wysokości działaniem wysokiego napięcia elektrycznego. Do tego właśnie celu służą aparaty, zapomocą których wytwarza się wysokie napięcie wielu miljonów



Ubrany w strój ochronny uczony niemiecki H. von Bohndorff pracuje w swem laboratorjum nad rozbiciem atomów drogą elektryczną.

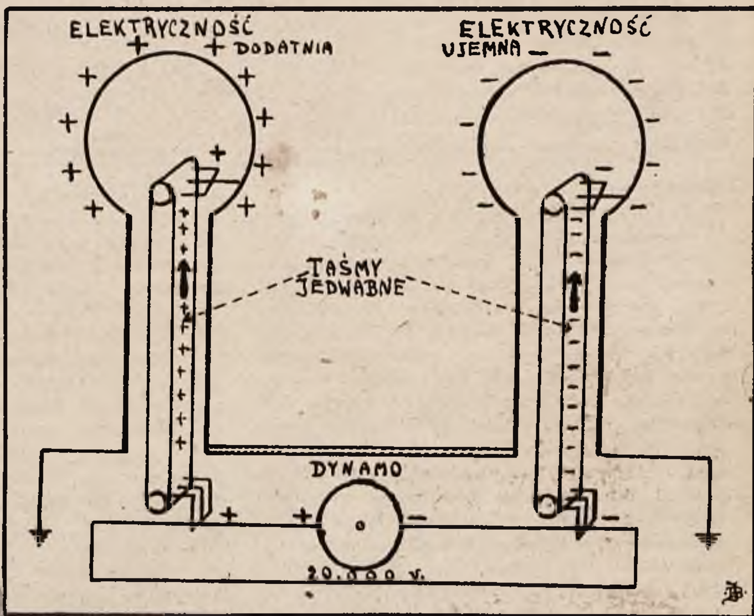
wolt. Takie aparaty były naprzykład demonstrowane na wystawie międzynarodowej w Paryżu. Zapomocą tych kolosów kilkunastometrowej wysokości, wytwarza się napięcia elektryczne równe napięciu, jakie panuje nieraz w przyrodzie podczas burzy. Zapomocą „sztucznych piorunów" rozbija się teraz atomy i przemienia w pierwiastki. To jest ten nowoczesny kamień mądrości, poszukiwany tak bezskutecznie przez alchemików.

Istnieje jednak jeszcze inny rodzaj pocisków, służących do tego samego celu. Są to właśnie wyżej wymienione neutrony. Ten rodzaj pocisków daje niezmiernie ciekawe wyniki.

Często pod działaniem wymienionych pocisków otrzymuje się ze znanych pierwiastków chemicznych nowe pierwiastki chemiczne, ale nie zwyczajne, tylko „radioaktywne". I tego właśnie odkrycia dokonali Irena Jolliot i Fryderyk Jolliot, laureaci Nobla, córka i zięć Marji Curie. Sztuczna radioaktywność stała się powodem ich sławy i nieśmiertelności, podobnie jak naturalna radioaktywność wsławiła na zawsze rodziców Ireny Jolliot.

Tak np. jeżeli się działa wyżej wspomnianemi już cząsteczkami alfa na pierwiastek glin, czyli aluminium, to powstają neutrony i inny pierwiastek, mianowicie sztuczny fosfor, ale posiadający już własności promieniotwórcze. Z aluminjum otrzymuje się więc fosfor, który jednak w odróżnieniu od zwyczajnego fosforu nie jest stały, tylko samoczynnie rozpada się dalej, wydzielając tzw.

Na prawo: Schemat przyrządu dr. Graafa, służącego do wytwarzania sztucznych błyskawic. Wewnątrz podstaw, na których znadują się metalowe kule, biegną jedwabne taśmy bez końca, niosące ładunki elektryczności. Ładunki te, ujemne w jednej kuli, a dodatnie w drugiej, odbierają z taśmy specjalne kontakty. Gdy napięcie, rosnące stopniowo w miarę gromadzenia się małych ładunków, wzrośnie do odpowiedniej siły, następuje między dwiema kulami wyładowanie w formie minjaturowej błyskawicy.



Poniżej: Olbrzymi generator elektryczny dra Graafa, którego schemat zamieszczony jest obok.



pozytrony, o których wyżej mówiliśmy, przyczem ów fosfor przemienia się dalej w pierwiastek zgoła inny, a mianowicie krzem (por. krzemionkę). Same neutrony, które przy tych procesach powstają zkolei, znowu mogą być użyte do rozbijania innych pierwiastków i wytworzenia nowych promieniotwórczych pierwiastków, gdyż jako neutralne, nie narażone są one na odpychanie tak, jak inne cząsteczki, pociski, naładowane elektrycznie.

W rezultacie więc odkryto a raczej wytworzono w ciągu ostatnich kilku lat około 150 sztucznych nowych, tzw. radiopierwiastków, które kto wie, czy nie istniały już kiedykolwiek w przyrodzie lub istnieją jeszcze dzisiaj na innych ciałach niebieskich. Chociaż więc nowoczesna alchemja nie zajmuje się wcale wytwarzaniem sztucznego złota i ze względu na ilościowo małe wyniki przy sztucznej przemianie pierwiastków nawet chwilowo niema nadziei na sztuczną produkcję złota, to jednak zasadnicza myśl alchemików o jedności całej materji zwyciężyła i nauka odniosła z tego bodaj większe korzyści, aniżeliby wynikły z fabrykacji sztucznego złota.

Inż. J. A.

Z WYSTAWY A. RÖMEROWEJ



W brukselskiej galerji obrazów „Toison d'Or" wystawia obecnie swe obrazy znana nasza portrecistka p. Anna H. Römerowa. Jest to już trzecia wystawa znakomitej portrecistki w Belgji, gdzie od dziesięciu blisko lat jest ona corocznym gościem.

Anna Römerowa posiada w Belgji bardzo wysoką markę wśród najwybitniejszych portrecistów, a to w kraju Rubensa nie jest łatwem do uzyskania. Na wystawie jej figurują zwykle portrety najwybitniejszych przedstawicieli rodów arystokracji belgijskiej.

Największe zainteresowanie wzbudza obecnie portret najmłodszego syna króla Leopolda III, trzyletniego ks. Alberta de Liège. Dziecko to jest ulubieńcem ludności belgijskiej i o jego psotach opowiada się w Belgji legendy.

Maleńki książę o głębokich figlarnych oczach, pięknej złotowłosej czuprynie i bladej cerze jest najbardziej rozpieszczonem dzieckiem królewskiem. „Rządzi" on dziś wszystkiem w pałacu i dlategoteż namalowanie go nie było łatwe. Römerowa przychodziła do pałacu kilkanaście razy, gdyż pozowanie nie trwało dłużej nad dwie, czy trzy minuty. Książę nieraz wymawiał się, iż tego dnia pozować nie będzie, ponieważ woli grać na patefonie, albo też słuchać bajek. Gdy pewnego dnia trzymał zbyt długo rękę w męczącej pozie, odezwał się do naszej malarki w te słowa: „jak będę duży, to ty będziesz pozowała rękę, a ja ją będę malował".

Portret ks. Alberta wypadł jednak doskonale. Przyciąga on codziennie na wystawę liczne rzesze publiczności, która nie szczędzi malarce polskiej, podobnie zresztą jak i prasa, bardzo życzliwych uwag. Portret zostanie w niedługim czasie ofiarowany przez specjalny „Komitet Pań miasta Liège" królowi belgijskiemu.

Hajot.

Dokończenie ze str. 2-ej

duże ulości złota. Po kilku miesiącach pracy, nieznany dotychczas w Paryżu złotnik przedstawił królowi dwa wspaniale wykonane trony, które sporządził z powierzonego mu na jeden tron złota. Zachwycony tą uczciwością, jak również pięknością wykonanej pracy, król nie tylko sowicie obdarował św. Eligjusza, lecz również zatrzymał go na swym dworze jako swego nadwornego złotnika. Tutaj św. Eligjusz, prócz wielkiej ilości naczyń i przedmiotów złotych i srebrnych, wykonanych dla użytku króla, sporządza dla klasztorów i kościołów relikwjarze, trybularze, monstrancje, kielichy; przyozdabia również i wykonuje cały szereg grobowców n. p. św. Genowefy, św. Marcina i św. Dyonizego.

Do wielkiego znaczenia i majątku dochodzi św. Eligjusz za następcy króla Kloterjusza, jego syna Dagoberta I, który uczciwego złotnika darzy niemniejszemi łaskami, niż ojciec. Żyjąc jednak bardzo skromnie, św. Eligjusz dochody swe obraca na wspomaganie ubogich, zakłady dobroczynne, na wykup więźniów i wspomaganie klasztorów. Otrzymawszy od króla pałac w Paryżu zamienia na kościół pod wezwaniem św. Marcjalisa, pierwszego patrona złotników. Koło tego kościoła wybudował klasztor, w którym osadził 300 zakonnic, zajmujących się wyrobem tkanin złotogłowych, przeznaczonych dla służby bożej. Była to jakby żeńska filja klasztoru męskiego w Solignac. ufundowanego przez św. Eligjusza w r. 631, w którym osadził zakonników, zajmujących się złotnictwem. Na prawym brzegu Sekwany pod Paryżem św. Eligjusz wvbudował kościół św. Pawła. Koło tego kościoła zgrupowało się całe ówczesne życie złotnicze, a skromne warsztaty złotnicze stały się później zaczątkiem dzielnicy Paryża, zwanej Quartier Saint Paul.

Pod koniec swego życia św. Eligjusz opuszcza dwór królewski i pragnie wstąpić do klasztoru, uproszony jednak przez lud i duchowieństwo, zaniechał tego zamiaru i objął wakujące w tym czasie biskupstwo w Noyon. Mianowany później przez papieża legatem apostolskim dla Francji, Fryzji i Szwabji, oddał się całkowicie pracy nawracania pogan, zyskując miano apostoła Flandrji. Przepowiedziawszy swą śmierć, św. Eligjusz zmarł dnia 1 grudnia 659 r.

Prócz znajomości życia swego Patrona, złotnicy starali się również posiadać wizerunki jego, a w „książkach do rachunków" krakowskiego cechu złotniczego w niejednem miejscu znajdują się zapiski wydatków, jak np. „za obraz nowy św. Eligjusza złp. 16" lub nawet, że „starając się około portretu św. Eligjusza, wydali na wino złp. 3 gr. 24". Obraz św. Eligjusza znajdował się nie tylko w kaplicy złotniczej i na chorągwi cechowej, lecz umieszczony był również w gospodzie złotników, na pieczęci cechowej i na „pierścieniu obesłania", służącym do zwoływania zebrań. Dotychczas też w cechu złotniczym zachowały się dwa obrazy, przedstawiające św. Eligjusza. Jeden z XVIII w. olejny, malowany na drzewie, obity blachami w części złoconemi, a drugi z r. 1609, przedstawiający św. Złotnika przy pracy. Jest to tablica wotywna, miedziana, wykuwana i złocona. — Również pieczęć obecnie przez cech złotników używana, sporządzona została na wzór pieczęci z XV w. i wyobraża św. Eligjusza przy pracy w warsztacie złotniczym.

Z upadkiem Rzeczypospolitej rozpoczyna się również gwałtowny upadek krakowskiego cechu złotniczego. Równolegle z tem idzie zanik praktykowanego życia religijnego, do czego w znacznym stopniu przyczynia się napływ obcego elementu, który wchłonąć w siebie musi krak. cech złotniczy.

Austrjacy po zajęciu Krakowa w r. 1796, piękną kaplicę złotników zamieniają na magazyn tytoniowy. Mimo próśb i protestów, złotnicy przenieść się muszą do kaplicy Bł. Salomei, oddanej im do użytku przez klasztor OO. Franciszkanów. Zadłużony cech sprzedać później musi nawet urządzenie kaplicy, a złotnicy używają protekcji, „żeby się mogło obejść bez pp. złotników i świec ich na procesji". Jest to wynikiem przedewszystkiem zubożenia złotnicwa. nictwa.

Z licznych uroczystości cechu złotniczego, do naszych czasów przetrwała tylko jedna. Co roku w oktawę Bożego Ciała złotnicy gromadzą się w kaplicy Bł. Salomei, gdzie odbywa się msza pontyfikalna, na którą przynoszą obraz św. Eligjusza. Następnie biorą udział w uroczystej procesji z chorągwią z wizerunkiem św. Eligjusza. Sredniowieczną biesiadę zastępuje złotnikom składkowe śniadanie, które niestety niczem nie przypomina dawnej wystawnej uczty. uczty.

Dr. Franciszek Zastawniak.

Dokończenie ze str. 6-tej

W końcu należy przypomnieć, że peyotl nie jest jedynem magicznem ziołem, które przyszły z Nowej Ziemi. Indjanie nad północno-zachodnią częścią Amazonki, znają jeszcze tajemniczą „Yaźę", którą mieszają wraz z sokiem lianów, aby uzyskać alkaloid „telepatinę", która wzmaga dziesięciokrotnie wyższe moce ducha. Zarówno chemja, jak „nowa wiedza" — parapsychologja nie powiedziały jeszcze swego ostatniego słowa. Czekają nas wciąż jeszcze zapewne rewelacyjne niespodzianki. Jedną wyższość jednak posiadamy nad naszemi poprzednikami z wieku 19, a mianowicie: że jesteśmy przygotowani, względnie nastawieni na widząż nowe odkrycia naukowe, nawet na takie, któreby nie zgadzały się z dotychczasowym stanem wiedzy i obaliły ją. Nauka współczesna nie zna żadnych dogmatów, przy których upierałaby się z zawziętością fanatyka. I to właśnie „nastawienie" prawdziwego uczonego, a nie upartego doktrynera, przysięgającego na niewzruszalność „prawd" naukowych — pozwala współczesnej wiedzy, zwłaszcza fizykalnej i biologicznej na rewelacyjne odkrycia.

Tadeusz Biliński.



„TANIEC SŁOWIAŃSKI" DWORAKA

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

MŁODOŚĆ MUSI SIĘ WYSZUMIEĆ...

SLOWFOX — PIOSENKA Z KOMEDJI MUZYCZNEJ
„DWÓCH SYLWESTRÓW NA SYLWESTRZE"

SŁOWA:
HENRYK WAKSZLAK

MUZYKA:
TADEUSZ PILESKI

1). Ja jes - tem mło-dy, ja jes - tem mło-da i mło-dy jest ca - ły świat.
2). Gdy ka - żesz o-dejść, to pój - dę so-bie, Świat przecież tak wiel-ki jest!

Mnie dnia jest szko-da, mnie no - cy szko-da i szko-da jest młodych lat. .... Więc w dzień tam ja-kiś,
Co po-tym zro-bisz? Ja wiem co zro-bię: dam u-śmiech ci za-miast łez. .... I w dzień tam ja-kiś,

przypuśćmy w piątek, Weź-my ze so - bą ca - ły ma - ją - tek: Psa, ksią-żek pa - rę, krew, ser - ce, wia - rę,
w śro-dę, czy w piątek, Od-dam dru-gie-mu ca - ły ma - ją - tek. Żyć w wiecznym sza-le i ko - chać sta-le

dwadzieś-cia jas - nych lat.....
prawem mło-doś - ci jest.

Refren:
Młodość musi się wy-szumieć,.... niech prze-mówią mło-de

dni. Szczęście, miłość, wszystko w su-mie............ to młodość. Ro - zumiesz, ro-zumiesz mnie

Ty. Przełknąć smutki trze-ba u - mieć, iść z u-śmiechem w dzień i noc.

Młodość mu-si się wy-szu-mieć, w tym pra-wie jej moc.

Ból prześpiewać, żal prze-krzy-czeć, wziąć ślub pod nie-bem wśród gwiazd,

Jak w po-wietrzu wieść swe ży-cie, za dom mieć ty-siąc sto miast.

Nic nie wiedzieć, nie ro - zu-mieć, Po-co, na-co, jak i gdzie.

Mło-dość mu-si się wy - szu-mieć, Ro - zu-miesz Ty mnie!

L I S T

JERZY KATYŃSKI

SZKIC

Wszystko zaczęło się tak szablonowo i tak niezmiernie prosto. Na polu było szaro i mglisto. Rzadkie promienie słońca padały czasem na posadzkę i rysowały dziwnie przetransformowaną sylwetkę okna. Pamiętał to dokładnie, bo prawie przez cały czas patrzał na nie i liczył ciemne podłużne pasy cieni.

Czasem w promieniach unosiły się nieuchwytne, drobne pyłki.

— Ona siedziała naprzeciw. Miała tak dziwnie czerwone usta. — A może to mu się tylko zdawało.

Gdy kobieta siedzi tyłem do okna, to tak trudno widzieć jej twarz. Było sucho i szaro. Ale za każdym razem, gdy patrzał przez okno, wydawało mu się, jakgdyby na polu mrzył drobny, uporczywy deszcz. Taki uparty i zimny.

Jesienny deszcz.

— Ona mówiła...

Słowa drżały długo w powietrzu, a w rzadkich promieniach słońca tańczyły czasem drobne pyłki.

Gdzieś — daleko przejeżdżał pociąg. Słychać było wyraźnie rytmiczny postuk kół, który na moment rozbrzmiał spotęgowanym resonansem. — Most.

Tam — o jakiś kilometr stąd, był most na rzece.

Słońce rysuje na podłodze cienie. Długie i ciemne. Przęsła.

— To nie ma sensu — — — mówiła.

Wiesz — muszę jechać. Wogóle nie rozumiem, dlaczego muszę cię przekonać i tłumaczyć. Robimy dramat z głupstwa.

— To dziwne, że gdy słońce zajdzie za chmurę, cienie znikają tak powoli, jakby z żalem.

Cisza zawisła w kącie — obok firanek i czasem tylko poruszała niemi niemal niedostrzegalnie.

— Posłuchaj. To naprawdę nie ma sensu. Nie będziesz mnie zatrzymywał. Wiem; ale dlaczego robić z tego tragedję. Rok czy dwa; zresztą — będę przecież pisała.

Firanki poruszają się niedostrzegalnie zmartwiałym oddechem ciszy.

Podniósł głowę i powiedział bez żadnej specjalnej intonacji — ot poprostu stwierdzając fakt:

— Pojedziesz...

Potem ona mówiła coś jeszcze: — Że przecież niedługo, że śmieszne i że list. — Potem pożegnali się i jeszcze: — Że napewno napisze.

Dalekie diminuendo kroków na schodach.

Na deskach posadzki nikną powoli złote plamy słońca.

— Na dachach leżał biały śnieg, a w świetlistych aureolach latarń wirowały srebrne płatki, kiedy przyszedł pierwszy, pachnący nią i rozstaniem — list.

— — — — — — — — — — — — —

Dnie w mieście są długie, a wieczory jęczą klaksonami aut i błyszczą blaskiem neonów.

Roznosiciele gazet wykrzykują tytuły wieczornych wydań.

Okna kawiarń perlą jasne kwadraty świateł.

Padają wolno płatki śniegu, stapiające się na chodnikach, w szarą błotnistą kaszę. Drapieżne palce reklam rysują jasne plamy na ciemnych ścianach domów.

Kapelusz można nasunąć na czoło i chodzić długo po nieznanych, ginących w mroku ulicach. Stopy rozgniatają białe, tające płatki śniegu.

W jakimś domu gra radjo, smętną monotonną melodję południowych wysp.

Dnie snują się powoli i smutno. Życie splata ogniwa poszczególnych chwil i rozciąga je w szarą codzienność.

Zegarek na biurku ma jasne, fosforyzujące w mroku cyfry. Dym z papierosa wspina się łagodnie wgórę. W pokoju jest już za dużo dymu. Właściwie należałoby otworzyć okno...

Białe punkty latarń żarzą się w tunelach ulic. Domy mają wyszczerzone szczęki bram i rozwarte ślepia jasnych okien.

Pamiętał — to było tak dawno...

Ona była taką małą srebrzystą dziewczyną. Tak ją właśnie nazywał — — srebrzysta dziewczyna. Poznali się jakoś przypadkiem.

Miała jasne włosy i ciemne głębokie oczy. W lecie chodzili razem na wycieczki. Uczył ją wtedy chodzić po górach.

Chodzili daleko — we dwoje. Po słonecznych męczących spinaczkach, przychodziły długie wieczory w schroniskach. Monotonne zmęczone pogwary w zakopconych izbach.

— Pamięta — raz...

Spinali się wtedy długo na szczyt. Granitowe głazy spychały ich na skraj ściany. Był upał. Spinaczka żlebem trwała parę godzin. Ręce miał wtedy poranione do krwi o ostre kamienie, o spiczaste występy głazów. Było tak ciężko, ale czuł jej kroki za sobą i to dodawało mu pewności.

Pamięta — potem, szczyt ostrą igłą wbity w lazur nieba. Tuż nad głową. Te parę ostatnich kroków zrobił już ostatkiem sił. — A — potem te rozkoszne chwile odpoczynku pod jakimś głazem.

Było już popołudnie. Słońce rzucało ukośne promienie na kamieniste zręby skał. — W ciemnych ponurych szczelinach, w załomach górskich gardzieli i żlebów czaiła się wieczorna mgła.

Stanął wtedy umyślnie na najwyższym zrębie szczytu.

Pod nimi, wdole, błyszczały rozrzucone w zieleni dolin — szałasy.

Wyraziście i ostro rysowała się na stoku przebyta droga. Na południu wznosiły się zwaliście sylwety gór, których niedostępne szczyty odcinały tamtą stronę. Marzyły się zapomniane skalne dróżki, idące gdzieś w bezdnię ścieżyny i dziwne — wyrosłe z mchów i jezior pieśni.

A tam daleko, — za ostatnim płatem ginącej na horyzoncie mgły, — za zielonemi smugami pól, było miasto.

— Słońce rzucało krwawe refleksy na szczyty wierchów. Ponure zwały turnisk kładły się po zboczach czarnemi plamami. Stalowe tafle jezior marzyły w kotlinach.

Za chmurami horyzontu, zasłonięte borem odległych łagodnych wzgórz, — żyło i wrzało — miasto.

— — — Potem wchłonęło go w siebie. Dnie rozpinające się codziennością, wypełniała żmudna i jednostajna praca.

Stałe roztapianie się we mgle, przerywane fałszywem słońcem niedzielnych poranków.

— Miasto.

Potem przyszedł list od niej. Od tamtej. Pisała mała srebrzysta dziewczyna. Pisała, że już dobrze, że już minęło, chociaż z początku było bardzo ciężko. Że pracuje i stara się zapomnieć.

Prawdopodobnie w najbliższym czasie wyjdzie zamąż. Do niego nie ma pretensji — bo przecież to nie była jego wina.

— Tak już się złożyło...

Tak — to nie była jego wina. Wciągnęło go miasto i zapomniał o tamtej małej srebrnej dziewczynie o złotych włosach i głębokich oczach.

A przecież... — mogło być — inaczej...

Potem przyszła ta. I teraz dostaje co jakiś czas, smukły list, pachnący nią i rozstaniem.

...— Na ulicach błyszczą aureole latarń. Za miastem dzwoni most na rzece, pod rytmicznemi uderzeniami kół pociągów.

— — — — — — — — — — — — —

Przez okno wpadają promienie słońca i rysują na posadzce długie smugi. Światła i cienie.

Firanki wydymają się lekko pod oddechem ciszy. Na polu jest szaro i promienie słońca gasną w mgle poranka.

— Na stole leży nierozcięty, pachnący rozstaniem, biały list.

UWAGA! UWAGA! KANDYDACI NA SAMOBÓJCÓW!

ROBERT HARRER

NOWELA

Z NIEMIECKIEGO TŁUMACZYŁA A. S.

Ellis Garkey trzymał rewolwer w ręku. W ostatnich miesiącach spotykały go same nieszczęścia. Wirginja odeszła od niego z jednym boksmanagerem; ukradziono mu auto; pozostał bez środków do życia z powodu zwolnienia go z doskonałej posady. I właśnie wyczytał w gazecie, że jego wartościowe papiery — ostatek fortuny — spadły o 90 proc. Wkońcu doszedł do tego, iż nie pozostaje mu nic innego, jak wpakować sobie kulę w łeb. Nastawił radjo, chciał bowiem przy miłej muzyce tanecznej pozbawić się życia. W chwili, gdy zamierzał pociągnąć cyngiel, muzyka się urwała i dał się słyszeć w radjo głos kobiecy:

— Uwaga — uwaga kandydaci na samobójców! Uwaga — przynosimy wam ważną wiadomość! Dowiedzionem jest, że zabijać się samemu bez przynoszenia korzyści ludzkości, uważanem bywa za niespołeczne i niegodne człowieka! Gdy się ścina drzewo, daje ono opał, słupy na chorągwie, deski na meble i trumny. Gdy człowiek sam się zabija, sprawia tylko kłopot w przyszłem życiu. Uwaga! Kandydaci na samobójców! Jeżeli już koniecznie chcecie umrzeć, to urządźcie to w ramach naszej „pożytecznej brygady samobójców". Przyjdźcie do nas, możecie u nas zostawić wasze życie, przytem przysłużycie się ludzkości. Będziecie mieć godny pogrzeb, wspaniały nekrolog, otrzymacie pokaźną sumę, którą możecie pozostawić swoim bliskim. Połóżcie rewolwer, sznur i flaszkę z trucizną i jedźcie do nas najbliżej stojącą taksówką; koszta wyrównamy sami. Liczymy na ostatek waszego rozsądku. Ta „pożyteczna brygada samobójców" znajduje się na ul. 37-ej nr. 1896!

Sympatyczny głos kobiecy umilkł.

Ellis Garkey spojrzał na rewolwer, potem schował go do kieszeni, nałożył kapelusz i wyszedł.

W 10 minut później przechodził przez dużą salę przyjęć „pożytecznej brygady samobójców". Był to ciemny pokój o czarnych tapetach, nadający się doskonale na przedpokój śmierci.

Kilkadziesiąt osób czekało. Mieli ponure twarze i wyglądali, jakgdyby właśnie powrócili z grobu.

Niedługo nadeszła jego kolej. Poważnie wyglądający pan przemówił do niego:

— Chce pan umrzeć? — Dobrze — powinien pan. Jest pan jeszcze młody, wpiszemy go do elity naszej brygady samobójców. Pozostanie pan naturalnie u nas i będzie surowo pilnowany. Użyjemy pana w razie pożaru domu, gdzie człowiek lub wartościowy sprzęt będą do ratowania. W 98 proc. prawdopodobieństwa straci pan przytem życie. Będzie pan brany pod uwagę, gdy policja będzie musiała osobiście dostawić list do przywódcy gangsterów. Prawdopodobieństwo znalezienia przytem wymarzonej śmierci jest stuprocentowe. Może pan być też wzięty do wypróbowania nowych trucizn, promieni śmierci lub wytrzymałości wozu wyścigowego — np. pokieruje pan autem w ten sposób, że z 30 metrów zleci pan w przepaść. Przy 100 wypadkach są szanse stokrotnej śmierci. Kiedy wypadnie na pana kolej, jeszcze nie wiemy, to sprawi przypadek. Dajemy panu za to: utrzymanie i kwaterę aż do zakończenia życia, potem pogrzeb 1-ej klasy — trumnę z niebieskich szlifowanych desek z łąki, 3 wieńce z fiołków, 2 wieńce z żółtych róż, sześciocylindrowe auto dla zwłok, pięciogłowy chór męski przy grobie, pomnik z szarego marmuru i premję złożoną z 5000 dolarów, którą pan może ofiarować swoim spadkobiercom lub na inne cele — więc proszę podpisać.

Ellis Garkey podpisał. Potem został oddany opiece młodej dziewczynie, która go zaprowadziła do celi samobójców. Odebrano mu wszystko, co posiadał. Otrzymał ubranie z niezniszczalnego materjału. Potrawy i picie przynosiła mu dziewczyna. Czytywała mu 4 godziny dziennie. Krótko mówiąc miał życie beztroskie, potrzebował tylko oczekiwać śmierci. Czekał 3 dni, pięć dni, ale nigdzie nie palił się dom, w którym trzeba byłoby ratować człowieka lub sprzęt wartościowy. Policja obcowała z gangsterami przyjaźnie i tylko telefonicznie; nie wypróbowywano ani trucizny, ani promieni śmierci, także auta wyścigowe przechodziły martwy sezon. Ellisowi Garkey przybyło w jednym tygodniu 2 kilo.

W trzecim tygodniu wpadł Ellis w nastrój melancholijny.

Faye, ładna posługaczka rzekła: — Będziemy panu musieli nałożyć pętlę na ręce! Jest pan tak smutny, że nie wiadomo czy...

Ellis Garkey utkwił w niej badawcze spojrzenie:

— Związać mnie? Faye, czy mogę pani coś powierzyć?

Dziewczyna skinęła głową.

— Więc Faye — kocham cię! Chcesz ze mną uciekać? Już tutaj dłużej nie wytrzymam. Siedzieć i czekać na śmierć, to okropne. Gwiżdżę na sześciocylindrowe auto dla zwłok, na pięciogłosowy chór męski. Chcę żyć — ale z tobą!

Faye rzuciła mu się na szyję. Później zapytał jej się.

— W jaki sposób dostałaś się do tej brygady?

— Byłam też taką samą kandydatką jak ty, Ellis, lecz...

Udali się oboje do komendy. Ellis powiedział:

— Moi panowie — chciałbym wystąpić, kocham znowu życie. Ile jestem winien za 3-tygodniowe utrzymanie i kwaterę?

Dyrektor kandydatów na samobójców uśmiechnął się.

— Winien? — nic, mój kochany!

— Ale ja przecież nic dla was nie zrobiłem!

— Tego jeszcze nikt z kandydatów na samobójców nie uczynił. Każdy na nowo odnajdywał ochotę do życia... i odszkodowania nie potrzebuje mi pan płacić. Musi nam pan tylko przyrzec, że o rzeczywistym celu nikomu pan nie powie, gdyż wówczas pozostaliby prawdziwi kandydaci na samobójców, a tylko chętni do życia wykorzystywaliby w oszukańczy sposób to wygodne życie... Nasza brygada została ufundowana przez jednego z ludzi, który, gdy raz rewolwer przyłożył do skroni, został w tym momencie zaskoczony wiadomością o odziedziczeniu 50 miljonów dolarów. Sobie pozostawił 100.000 dolarów, większą resztę użył na stworzenie naszej pożytecznej Brygady Samobójców. Więc do niezobaczenia się nigdy.

W tych 3 tygodniach papiery Ellisa podniosły się o 5000 proc. Znalazł list od swojej firmy, która go znowu chciała przyjąć z podwójnie wyższą pensją. Tylko Wirginja pozostała niewzruszona, ale to nic nie szkodziło, gdyż Faye była wspaniałą dziewczyną!

Tajemny szept kwiatów...



Perfumy — to czarodziejskie słowo — posiadające niemal magiczny urok, oszałamiającą a subtelną woń — która niejednokrotnie kojarzy się z jakiemś wspomnieniem odległych chwil, marzeń, postaci...

Perfumy tchną przedziwną melancholijną ciszą gasnącego dnia... Perfumy — to tajemniczy szept kwiatów... Tak pachną kwiaty i natura. Tę woń spreparowali ludzie, by usymbolizować nią kobietę. I jak różnorodną jest psychika kobiety, tak bogatą jest gama zapachów. Znajomość perfum istnieje od niepamiętnych czasów. Już u ludów starożytnych były one w wielkiem poszanowaniu, a w państwie Faraonów używano ich aż do zbytku. (W tych to czasach decydującym był zapach piżma). Domy całe, groby, ciało i ubranie były namaszczane wonnościami o mniej lub więcej miłym zapachu.

Podczas uroczystości pachnąca woda płynęła w strumieniach.

Rozpylacz jest również wynalazkiem ludów starożytnych. Ateńczycy podczas wspaniałych uczt puszczali ponad stołami gołębie, skąpane w rozmaitych wonnych esencjach. Gołębie te fruwając ponad stołami, strzepywały ze skrzydeł najpiękniejsze zapachy na głowy biesiadników. Czy te rozpylacze nie przedstawiały ryzyka, niewiadomo!

W Rzymie już w nieco odmienny sposób rozpylano perfumy, mianowicie niewolnice nabierały w usta pachnącą wodę i rozpryskiwały ją na głowy swoich pań. W czasach nowożytnych używano specjalnego mieszka.

W Rzymie stosowanie perfum i życie wśród najsilniejszych zapachów tak bardzo było rozpowszechnione, że poeta Plaut wołał:

„Na Polluxa! jedyną kobietą pięknie pachnącą, jest niewątpliwie ta, która nic pachnie niczem"...

W wiekach średnich ulubionemi zapachami były: ambra i werwena, później modnym stał się zapach kwiatu pomarańczowego i tak z każdą epoką niemal zmieniało się zamiłowanie do jakiegoś zapachu. Wiadomo powszechnie, że Anna Austrjaczka używała kosmetyków perfumowanych tylko zapachem wanilji, a margrabina de Pompadour przepadała za zapachem róży i jaśminu.

Dzisiaj taksamo perfumy odgrywają niepoślednią rolę w życiu kobiety. Zresztą z higjenicznego punktu widzenia należy ich używać, gdyż posiadają własności orzeźwiające i pobudzające, nigdy jednak nie powinno się ich nadużywać tak z uwagi na zdrowie, jak i poczucie estetyczne. Niektóre perfumy mają również wpływ na piękność i temperament, zwłaszcza o zapachu lawendy, cytryny, róż, fiołków.

Niewłaściwe natomiast jest stosowanie kilku rodzajów zapachów równocześnie, jak to czyniły Greczynki. Miały one oddzielnie perfumy do każdej części ciała: majeranek do włosów, zapach jabłeczny do rąk, zapach macierzanki do szyi i kolan a poza tem jeszcze bardzo chętnie używały wody z liści winnych. Ale taka mieszanina nie mogła być przyjemna!

Obecnie wraz z rozwojem cywilizacji i techniki, wzbogaciła się gama zapachów. „Sztab" chemików głowi się nad wynalezieniem coraz nowych kombinacyj zapachów, bowiem wymagania mody obecnej zmuszają do tego. Jednak nie jest to tak łatwa rzecz, aby bowiem stworzyć nową kompozycję zapachową, nie wystarczy być tylko dobrym chemikiem, trzeba być i dobrym psychologiem zwłaszcza psychologiem duszy kobiecej, poznać jej indywidualność, którą dany zapach ma uwypuklić; trzeba posiadać kulturę i dużo poczucia estetyki, która potrzebna jest dla zachowania dyskretnego umiaru. Poza tem trzeba być znawcą pewnych reguł, które jednak nie dadzą się ująć w niezmienne przepisy. Bodaj że najważniejszą z reguł jest ta, że w kompozycji nie może wybijać się jakiś specjalny zapach, bo jedynie harmonijne zespolenie odcieni zapachu, da-

(dokończenie na str. 26-tej).

PORANNA GIMNASTYKA


Ćwiczenie pierwsze.

Z całym naciskiem musimy znowu przypomnieć o konieczności wzmacniania muskulatury nóg, od której zależy elastyczność mięśni brzucha i samopoczucie całego ciała. Ćwiczenia, służące do tego celu, są rozmaite. Należy wykonywać je starannie i systematycznie. Zwłaszcza koniecznem jest to dla sób, które zmuszone są podczas pełnienia obowiązków zawodowych do ustawicznego stania lub siedzenia. Ciągłe siedzenie osłabia i rozleniwia muskuły nóg; ustawicznie stojąca pozycja nadwyręża je i wypacza.

Ćwiczenie pierwsze: Można je wykonywać na dwa sposoby. Wyprężamy nogi mocno, opierając się czubkami palców u rąk o podłogę. Stosując pierwszy sposób kładziemy następnie całą dłoń zwiniętą w luźną pięść na podłodze. Napinając muskuły rąk, odejmujemy dłonie w górę, nie zwalniając naprężenia nóg. Dopiero nazajutrz odczuwamy skutek w zbolałych mięśniach. Przy drugim sposobie opieramy również dłonie na posadzce, wyprężając i zginając naprzemian kolana. Po dwudziestokrotnem powtórzeniu ćwiczenia odpoczywamy i przechodzimy do następnego.

Ćwiczenie drugie: Przyjmujemy pozycję jak na ilustracji, zważając dokładnie na położenie rąk i nóg. Czubki palców i stopy skierowane są na zewnątrz, nogi ustawione są niemal równolegle. Głowę wznosimy lekko w górę, aby odczuwać pewien opór mięśni w plecach. Teraz uginamy jedną nogę do tyłu, wyprężając drugą do przodu, aby odczuwać napięcie w muskułach nóg. W ten sposób wyprężamy i uginamy naprzemian obie nogi. Nie zmieniamy przytem pozycji rąk, gdyż ćwiczenie odnosi się tylko do nóg.


Ćwiczenie drugie.

Po tych dwóch ćwiczeniach kładziemy się na wznak, poczem podnosimy obydwie nogi w górę, czyniąc kilka ruchów wahadłowych.

Rzecz zrozumiała, że to drugie ćwiczenie powtarzamy kilkanaście razy. Dla równowagi możemy uzupełnić je mostkiem pleców, wykonując go w ten sposób, aby silnie napiąć mięśnie w udach i w ramionach, służących jako podpora mostku. Gdy i to dodatkowe ćwiczenie mamy już poza sobą, korzystnie jest wykonać na stojąco kilka mocnych wahadłowych ruchów rękami i nogami.

Zbytecznem jest dodawać, że ćwiczenia wzmacniające i naprężające muskuły nóg, bioder i brzucha, mają także cel estetyczny, udaremniając osadzanie się tłuszczu na tych partjach i pomagając do pewności i elastyczności chodu.

Nie zapominajmy powtórzyć po każdem ćwiczeniu gimnastyki oddechowej przy otwartych oknach, stanowiącej pewnego rodzaju zdrowotny finał każdego ćwiczenia fizycznego.


1


3


4


2

DO GÓRY I NADÓŁ...

Powyższe cztery zdjęcia pokazują nam, jak należy i jak nie należy chodzić po schodach: 1. Tak nie. 2. Ale tak. 3. I tak nie. 4. Ale zato tak

---

Ciąg dalszy ze str. 25-tej

je wynik pozytywny. Wszystkie składniki w kompozycji muszą być tak połączone, by wydawały w rezultacie jeden tylko zapach. Do takiego łączenia nadają się esencje zapachów organicznych, zwierzęcych jak: ambra, cybet, castoreum lub piżmo. Istnieją jeszcze całe setki nowych zapachów, wytwarzanych przez fabryki i setki surowców, dostarczanych przez wszystkie części świata. Są to surowce roślinne jak „tolu", żywica lasów hinduskich, bądź zwierzęce, jak „szara ambra", wydzielina wielorybów oceanu Indyjskiego, „tonka castoreum", mech dębowy i inne.

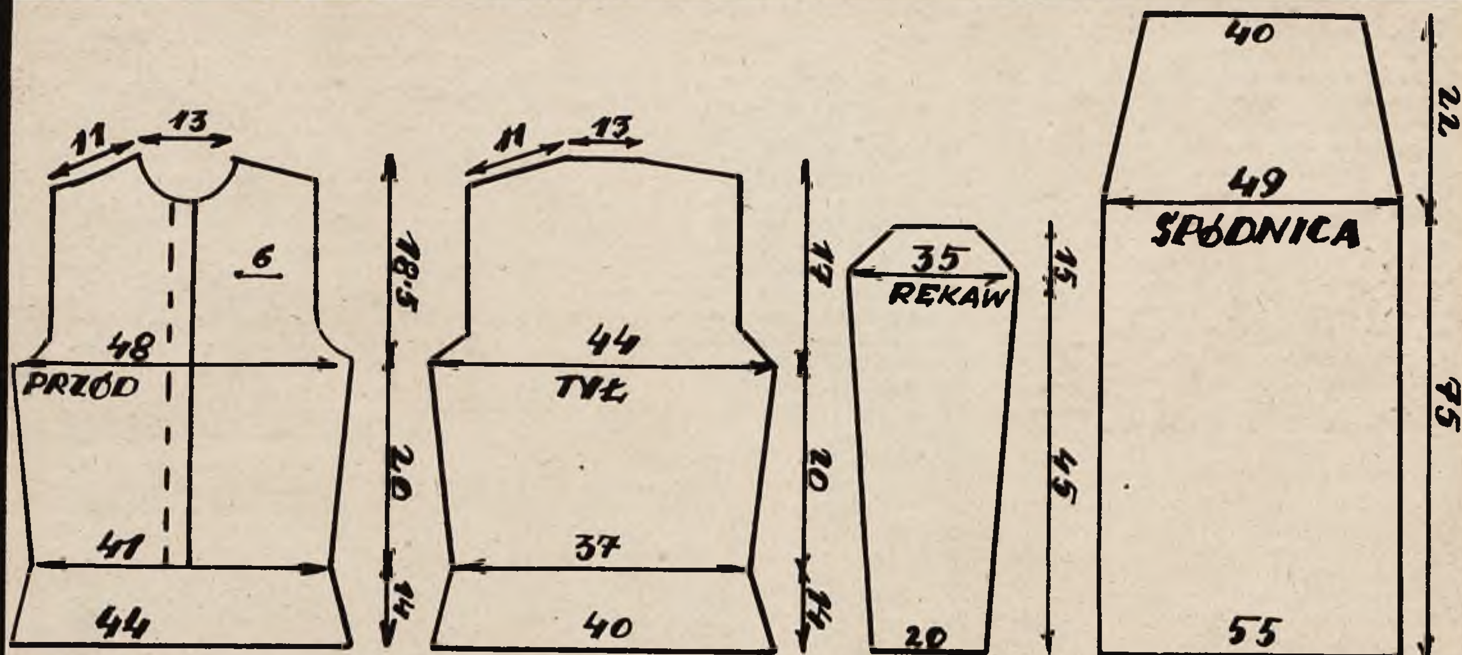
Do upiększania zapachu najczęściej służą olejki kwiatowe jak: olejek róży, jaśminu, hjacyntu, kwiatu pomarańczowego, cytrynowego i inne. Kiedy kompozycja jest połączona i zapach upiększony, należy ją „zakończyć" i do tego celu służą olejki: bergamotowy, cytrynowy, pomarańczowy i t. p. Najważniejszą rzeczą przy tworzeniu dobrego zapachu jest przedewszystkiem powonienie chemika.

Perfumy są tak wrażliwe, że zapach ich ulega zasadniczym zmianom, w zależności od przedmiotu, na którym się znajdą. Reagują nawet na rodzaj materjału, inaczej bowiem pachną na futrze, inaczej na jedwabiu, inaczej na ludzkiej skórze, latem lub zimą, inaczej w pokoju lub ogrodzie. Również kolor włosów odgrywa dużą rolę, gdyż n. p. blondynka uperfumowana tym samym zapachem inaczej pachnie, jak brunetka albo rudowłosa. Niestety te własności perfum stanowią tajemnicę dla wielu z nas, zwolenniczek tego miłego artykułu „pierwszej potrzeby". Toteż najczęściej perfumy są dobierane szablonowo z pominięciem ich indywidualnych cech zapachowych. Nieraz nawet piękny flakonik decyduje o wyborze. — Tymczasem powinno się zwracać uwagę, aby wrażenia zapachowe harmonizowały ściśle z daną osobą, jej wiekiem i usposobieniem. Wszak zapach perfum powinien wytwarzać specyficzny fluid, otaczający tę właśnie a nie inną kobietę, a równocześnie powinien świadczyć o jej zamiłowaniu, kulturze i poczuciu estetycznem.

Wielkie fabryki perfum i zagraniczne salony mód hołdując zamiłowaniu pań do perfum — w ciągłej ze sobą rywalizacji o mistrzostwo — rzucają na rynek coraz nowe kompozycje, nowe pomysły, do różnych zastosowane użytków. Toteż spotyka się dzi-

Dokończenie na str. 31-ej

PRZEDPOŁUDNIOWA GARSONKA NA DRUTACH



Elegancja połączona z skromnością i praktycznością, oto są zalety naszego nowego modelu. Jest to suknia stosowana na przedpołudnie pod futro. Wąska, przylegająca spodnica, kórej linję podkreślają pionowe prążki ściegu i skromna bluzka w formie żakietu, zapinanego od pasa w górę. Całość wykończa i podkreśla sportowy styl szeroki pasek z jasnego zamszu lub filcu, zdobny motywami ludowemi. Przy szyi szalik

Materjał: ok. 900 g włóczki „Amaryllis" marki „Trójkąt w Kole" w dowolnym kolorze, druty nr. 2, 5 i 2 oraz 7 guzików drewnianych o średnicy 1.5 cm. Spodnicę wykonujemy w 2 jednakowych częściach wg. kroju, w którym liczby podają wymiary w cm. Przerabiamy po prawej stronie roboty wszystkie oczka wprost, po lewej stronie naprzemian 1 oczko nawywrót, 2 oczka wprost. Uważamy przytem, aby oczka prawe wypadały stale na sobie, przez co utworzą się po prawej stronie roboty pionowe prążki z oczek prawych. Przerabiamy na grubszych drutach. Z boków ujmujemy począwszy od wysokości 15 cm do 18 rzędów potem od wysokości 50 cm do 6 rzędów, aby nadać formę. Po zeszyciu boków, przyczem pozostawiamy na lewym boku 10 cm wolne na zapięcie, wszywamy spodniczkę w gurt i zapinamy na zatrzaski i haftki. Brzegi rozcięcia wykończamy półsłupkami. Bluzkę wykonujemy w oddzielnych częściach, następującym ściegiem. Przerabiamy naprzemian 2 oczka wprost, 2 nawywrót. Oczka prawe w rzędach powrotnych wypadają na prawych, lewe na lewych. W rzędach prawostronnych zmieniamy zawsze ten układ tak, że oczka prawe wypadają na lewych, lewe na prawych. Przód zaczynamy od dołu, na całą szerokość przerabiamy do wysokości pasa, poczem po przerobieniu prawej części przodu na 2 cm poza połowę, odwracamy robotę i przerabiamy aż do ramienia tę część oddzielnie. W przedni brzeg wrabiamy 7 dziurek na guziki zakończając odpowiednią ilość oczek i nabierając w następnym rzędzie, w tem samem miejscu, tę samą ilość nowych oczek. Wycięcie na rękaw i przy szyi wykonujemy zakończając i ujmując oczka. Lewą połowę przodu wykonujemy na pozostałych oczkach, do których dobieramy z przedniego brzegu nowe oczka na przestrzeni 4 cm. Powstanie w ten sposób spodnia listewka, której dolny brzeg podszywamy niewidocznemi ściegami pod spód. Otwór na kieszonkę, szeroki na 6 cm, wykonujemy jak dziurki na guziki. Rękawy zaczynamy od góry na 20 oczek i dodajemy z obu brze- dole rękawa przerabiamy na cieńszych drutach. Gotowe części zaszywamy, obrabiamy wycięcie na szyi półsłupkami i obdziergujemy dziurki. U góry wykończamy kieszeń paskiem, który zaczynamy na szerokość 2 cm i wykonujemy ściegiem spodniczki na wysokość 6 cm. Pasek przyszywamy jednym z dłuższych brzegów do dolnego brzegu otworu na kieszeń. Jako zapięcie służą guziki, obciągnięte trykotem z tej samej włóczki, z której zrobiono garsonkę.

Mieczysława Drozdowska.



Brązowa garsonka pod futro z zamszowym, ozdobnym paskiem w kolorze beige.
Fot. Imre von Santho.

Ze wszystkich rzeczy, które przyroda postawiła do dyspozycji piękności kobiecej — najpiękniejszem jest futro. Podobnie jak drogie kamienie, szlachetne i drogocenne futra najwspanialej podkreślają jej królewskość i blask, dlatego też stanowią wymarzoną dla niej oprawę.

Żadna tualeta nie daje pięknej kobiecie takich ram, jak jedwabiste, puszyste futra, na których tle tak subtelnie odcina się piękna karnacja cery, połysk i miękkość włosów, blask uśmiechu i spojrzenia. Dlatego też kobiety od jaskiniowych wprost czasów kochały się w futrach, dlatego na starych portretach obrazach widzimy królewskie płaszcze, podbite nieskalaną bielą pysznych gronostajów, spływające z ramion władczyń i kobiet krwi królewskiej. Do dziś taki płaszcz należy do żelaznego repertuaru stroju koronacyjnego — a podziwialiśmy go niedawno na ramionach królowej Elżbiety angielskiej, tak, jak niegdyś zdobił ramiona cesarzowej Józefiny, jak to widzimy na obrazie, przedstawiającym koronację Napoleona, pendzla Davida.

Zwykłe śmiertelniczki nie wyrzekają się jednak tej królewskiej ozdoby i posługują się pięknym wieczorowym cape'em futrzanym, o tyle piękniejszym,



bardziej pajęczą koronką. Z aksamitem harmonizuje wspaniale, podkreślając jego głęboki, zmatowany połysk.

Kombinowanie tualet wieczorowych z futrzanem okryciem daje również pole do nowych i subtelnych zestawień kolorystycznych; sobole o ciepłym złotawym połysku wyglądają najpiękniej przy odcieniach zielonych, kremowych i bronzowych; ciemniejsze nurki harmonizują z purpurą i fioletem, srebrne lisy najwspanialej zdobią suknie czarne, białe i srebrno-popielate, podczas gdy gronostaje lub białe lisy odpowiednie są niemal do każdego koloru.

Wieczorowa, czy balowa tualeta bez odpowiedniego cape'u z szlachetnego futra, robi dziś wrażenie czegoś niekompletnego, niewykończonego. — Brak jej tego ostatniego akcentu prawdziwej wytworności i elegancji. Co tu wiele mówić: cape jest poprostu konieczny! A że zbliża się gwiazdka, piękne panie będą miały o czem marzyć i napewno dadzą przeczytać ten felietonik swym mężom, w cichej nadziei, że... „sapienti sat!"

Lady Like.

Na lewo: Barbara Stanwyck niedbale zarzuciła na ramię cape z drogocennych soboli.

Cape — czy futrzany żakiet?



że ulegającym coraz to nowym przemianom i coraz bardziej rafinowanym w doborze futra i jego kroju. Wśród skór zwierząt, odpowiednich na wieczorowy cape, prym wodzą wszystkie szlachetne odmiany lisów, lśniące nurki, śnieżne gronostaje i puszyste sobole. Umiejętna wyprawa i opracowanie kuśnierskie odebrały tym skórom wszelką sztywność i ciężar. Są one dziś tak miękkie i podatne, że dadzą się marszczyć, drapować, falować i układać, jak najmiększe jedwabie czy aksamity. Tworzą małe pelerynkowe kołnierze, okrywające zaledwie ramiona, dłuższe cape'y, luźne trzyćwierciowe lub tylko do pasa sięgające żakiety, a nawet całe peleryny, spływające do samych stóp, niby królewskie płaszcze.

Na wystawie paryskiej pokazano nam w pawilonie elegancji, co dzisiejsze kuśnierstwo potrafi: widziało się olbrzymie etole, zestawiane z niebieskich lisów, montowanych na gazie, miękkie i układne, jak szale z kaszmiru czy jedwabiu. Każdy, najwymyślniejszy krój wieczorowego okrycia da się dziś odrobić w każdem futrze.

To „odmaterjalizowanie" (można rzec!) futra, pozwala również na obfite stosowanie go w wieczorowej tualecie, w postaci paspoli i szlaków. Nie jest już dziś za ciężkie, aby zestawiać je z najpowiewniejszą gazą czy naj-



Na lewo: Pelerynka z nurków. (Dorota Lamour).

Na prawo: Margaret Lindsay w cape'ie ze srebrnych lisów.



Niejedna z pań woli zamiast cape'u żakiet futrzany, którego piękny model z niebieskich lisów widzimy na zdjęciu (Leah Ray).

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

BARSZCZ WIGILIJNY. Na smak do barszczu nastawia się do gotowania całą włoszczyznę, jak do rosołu, poza tem 3–5 dkg grzybów suszonych, dużą cebulę upieczoną w całości na blasze lub w piecyku oraz 3 duże buraki ćwikłowe, drobno pokrajane. Wszystko zalewa się zimną wodą i gotuje przez dwie godziny. Osobno zagotowuje się dobry, kiszony barszcz, trochę posolony, po zagotowaniu zbiera się z niego piany i łączy z odcedzonym z jarzyn smakiem, poczem dodaje się zasmażkę z łyżki masła i mąki i troszką cukru zagotowuje i odstawia. Wygotowane w smaku grzybki sieka się lub miele, dodaje łyżkę tartej bułki, przesmaża na maśle i sporządza z farszu tego uszka, które się gotuje na wodzie i podaje osobno do barszczu.

SOS MAJONEZOWY DO RYB. 4 żółtka twarde, przetasowane przez sito oraz 3 żółtka surowe uciera się z szklanką oliwy, dolewanej kroplami. Gdy cała oliwa wyjdzie a majonez jest gęsty i gładki, dodaje się wśród ciągłego ubijania: sok z 1 cytryny, szklankę białego wina, 5 płytek żelatyny rozpuszczonej i następnie przecedzonej przez sitko, soli i cukru do smaku, oraz szczyptę białego pieprzu. Sosem tym, doskonale ubitym, polewa się rybę, ugotowaną w słonej wodzie i ułożoną po wystudzeniu na półmisku. O ile sos okaże się za gęstym, można go rozprowadzić ostudzonym rosołem z pod ryby.

SZARY, TZ. POLSKI SOS DO KARPIA. 10 dkg piernika specjalnego do gotowania zalewa się w rynce szklanką wody, rozgotowuje i fasuje przez durszlag. Następnie dodaje się szklankę wina czerwonego lub kieliszek octu, sok z połówki cytryny, 3 dkg oparzonych i poszatkowanych migdałów, 3 dkg bezpestkowych rodzynek i szczyptę soli i cukru. Sos zagotowuje się. Powinien on być zawiesisty, ale gdyby okazał się za gęsty, dodać można troszkę rosołu, w którym się karp ugotował.

KUTIA WIGILIJNA (na życzenie Czytelniczki). Szklankę omielanej pszenicy parzy się wrzącą wodą, zagotowuje, odcedza, zalewa ponownie gorącą wodą i gotuje dalej, aż ziarna zmiękną. Gotować należy w garnku kamiennym lub grubym emaljowym, aby się nie przypaliła. Najlepiej będzie, jeśli ją niezupełnie ugotowaną wstawimy do większego naczynia z gorącą wodą i dusić będziemy w piecyku, aż będzie miękka i gęsta. Ostudzoną kaszę miesza się z mielonym makiem, utartym z cukrem i kilku łyżkami miodu; prócz maku dodaje się w dowolnej ilości parzonych, obłupanych, następnie zmielonych migdałów, rodzynków sułtańskich oraz kilka łyżek słodkiej śmietanki. Kutia powinna być przed podaniem dobrze zastudzona, więc należy ją przygotować na kilka godzin przed wieczerzą.

ŁAMAŃCE Z MAKIEM. Litr maku płucze się w kilku wodach, następnie zagotowuje w wodzie, odcedza z niej dokładnie i miele w specjalnym młynku lub uciera wałkiem w makutrze, dodając na każdą łyżkę maku pół łyżki cukru. Do utartego maku dodaje się kilka łyżek słodkiej, surowej śmietanki kremówki, trochę parzonych migdałów drobno usiekanych, troszkę skórek pomarańczowych lub suchych konfitur z łupek pomarańczowych i szczyptę soli. Ta ostatnia podnosi smak maku wydatnie. Mak wymieszawszy z dodatkami, nakłada się na kryształową salaterkę i przybiera łamańcami. Te sporządza się z kruchego ciasta, zagniecionego z 20 dkg mąki, 13 dkg masła i 6 dkg cukru oraz paru łyżek kwaśnej śmietany. Dość tęgie ciasto wałkuje się na grubość grzbietu noża i wykrawa kieliszkiem od wina księżyce i półksiężyce. Upieczone na mąką posypanej blasze, w niezbyt gorącym piecyku, nie bardzo rumiane i ostudzone, wkłada się je do maku stojąco zanurzając do połowy wysokości.

LEGOMINA KASZTANOWA Z OWOCAMI. Pół kg kasztanów ponakrawać, następnie ugotować, obrać z łupy, nalać do połowy mlekiem, dodać parę łyżek cukru oraz szczyptę soli i rozgotować na masę, do której dodaje się troszkę wanilji ,oraz cukru w razie potrzeby. Masę przeciska się przez maszynkę lub przez durszlag na półmisek, tworząc spiczastą piramidę, którą otacza się osączonemi z soku owocami z konfitur jednolitych lub mieszanych. Wszystko pokrywa się pianą merengową, ubitą z 6 białek i paru łyżek cukru pudru i wstawia na kilka minut do piecyka, aby się piana zrumieniła.

Tę samą legominę podać można na zimno, wtedy w miejsce piany merengowej pokrywa się masę kasztanową bitą śmietanką i zastudza ją na lodzie.

TORT SACHER Z BIAŁEK. 10 dkg czekolady rozmiękczonej w cieple utrzeć z 8 dkg masła deserowego, dodać 15 dkg cukru z wanilją i ucierać przez 10 minut, potem wmieszać połowę piany, ubitej z 6 białek, dodać 8 dkg mąki, wreszcie lekko wmieszać resztę piany. Upiec w letnim piecu, po wystudzeniu przełożyć marmoladą kremem i oblać polewą czekoladową, przybrać z wierzchu kandyzowanemi owocami. Polewa: 8 dkg cukru i 4 łyżki wody gotuje się na gęsty syrop, dodaje 8 dkg rozmiękczonej czekolady i łyżeczkę masła.

Sc., Ko.



NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Okres zimowy zaznacza się w gospodarstwie domowem wzrostem konsumpcji prądu elektrycznego, zużywanego na oświetlenie podczas długich wieczorów. To też każda nowość, zmierzająca do obniżenia tej konsumpcji, napewno spotka się z życzliwem przyjęciem pań domu. Na wystawie gospodarstwa domowego „Dima" w Zurychu pokazano lampkę oszczędnościową (na zdjęciu), umożliwiającą haftowanie wieczorną porą.

Fot.: Zygmunt Borzęcki — Zurych.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 52

Grudzień

31 dni

NIEDZIELA **19** Nemezjusza	Zupa z móżdżków z groszkiem ptysiowym. Paszteciki mięsne z sałatką. Kuropatwy pieczone z brusznicami. Galaretka malinowa. Kolacja: Omlety z szpinakiem.
PONIEDZ. **20** Teofila	Rosół "Julienne". Sztuka mięsa z sosem musztardowym. Rozbef z jarzynami. Kompot mieszany. Kolacja: Pierożki z słodką kapustą.
WTOREK **21** Tomasza ap.	Zupa czernina z kluseczkami. Brukselka z masłem. Ozór peklowany z purée grochowem. Dołeczki z konfiturami. Kolacja: Wędliny z sosem tatarskim.
ŚRODA **22** Zenona ap.	Zupa pieczarkowa. Włoska kapusta z ryżem. Dorsz smażony lub kotlety cielęce z ziemniaczkami. Strudel z jabłkami. Kolacja: Śledzie marynowane.
CZWARTEK **23** Wiktorji	Zupa pomidorowa czysta z kluseczkami. Bulwy i salsefia w cieście. Polędwica po angielsku z jarzynami. Budyń czekoladowy. Kolacja: Naleśniki z kaszką krakowską.
PIĄTEK **24** Adama i E. † Wig.	Obiad wigilijny: Zupa rybna lub barszcz z uszkami. Sandacz lub szczupak faszerowany w majonezie. Karp w szarym sosie. Kutja wigilijna. Łamańce z makiem. Torty, ciasta, bakalje, owoce.
SOBOTA **25** Boże Narodz.	Zupa z drobiu z grzybkiem. Ryba w galarecie. Indyk pieczony. Kompot. Sałatki. Legomina kasztanowa. Torty, owoce. Kolacja: Zimny indyk z sał. majon. Pasztet z dziczyzny.

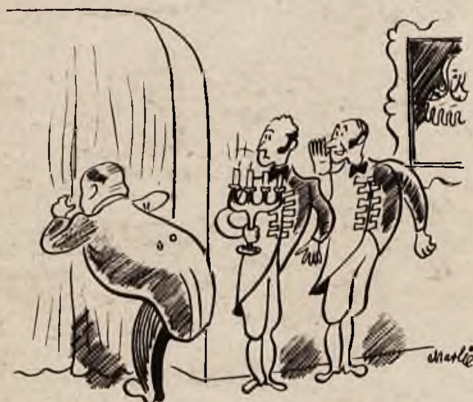
HOCKI-KLOCKI

NIESPODZIANKA.



— O tej porze wracasz do domu? (Rys. Charlie).

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA.



Służący: — To jest dyrektor teatru: zawsze zagląda przez kotarę, by się przekonać, ile osób znajduje się na sali! (Rys. Charlie).

Rozwiązania z Nru 50-go.

CÓRKI PANA WRÓBLA.

Wanda otrzymała prezent za 5 zł.

Poniższa tabliczka wskazuje wydatki dziewcząt.

	Wala	Wanda	Wisia	Wera	Wikta
Wala	1	5	2	3	9
Wanda	8	1	6	3	2
Wisia	4	5	1	8	2
Wera	4	2	7	1	6
Wikta	3	7	4	5	1

„JEDZCIE WIĘCEJ OWOCÓW!"

19 jabłek + 2 gruszki + 1 banan = 22 owoce.

10 bananów + 1 jabłko + 2 gruszki = 13 owoców.

LIST PANA KANARKA.

List ojca nie świadczy o zbytniej jego inteligencji, gdyż jeśliby syn nie otrzymał listu, to nie wiedziałby, że w razie nieotrzymania go, winien telegrafować.

MIÓD I NAFTA.

Pusta bańka waży 200 gr.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

BASIA.

Basia jest małą, rozsądną dziewczynką, którą ostatni raz widziałem pięć lat temu. Wczoraj spotkałem ją ponownie — urosła bardzo, więc zapytałem ją, ile ma już lat. Dziewczynka odpowiedziała: „Gdy mój ojciec będzie miał tyle lat, ile teraz ma mój dziadek, ja będę tyle razy starsza niż jestem obecnie, o ile lat będę mieć więcej niż mój ojciec w tej chwili.

Suma lat mego ojca, dziadka i moich wynosi 100. — Ile lat ma Basia?

KTO PIERWSZY STRZELAŁ?



W pewnem mieszkaniu w Chicago znaleziono dwóch gangsterów, Domagana i Mac Meana; każdy z nich miał głowę przeszytą kulą rewolwerową. Domagan z rewolwerem dużego kalibru w ręce, leżał martwy w pokoju, z którego do następnego prowadziły oszklone drzwi. Za drzwiami dogorywał Mac Mean, trzymając kurczowo rewolwer mniejszego kalibru. W szklanych drzwiach były dwie nierównej wielkości dziury. Policji udało się ustalić, że gangsterzy zabili się nawzajem, jednak powstało pytanie, który z nich strzelał pierwszy — ten bowiem jest w obliczu prawa mordercą. Jeden z detektywów, po starannem zbadaniu dziury i pęknięć w szybie drzwi stwierdził, że mordercą był X.

Proponujemy czytelnikom zgadnąć, który z gangsterów strzelał pierwszy. Należy postąpić tak, jak detektyw, a więc uważnie przyjrzeć się zbitej szybie.

ZGUBIONY BANKNOT.

Janek jest początkującym posłańcem w wielkiej firmie. Jego zarobek miesięczny wynosi 80 zł. W dniu wypłat przychodzi po swą pierwszą pensję do kasjera, który jednak ma w kasie tylko stuzłotowe banknoty. — „Czy możesz mi wydać 20 zł. reszty?" zapytał chłopca. — „Nie — odrzekł Janek — ale mogę 20 zł. pożyczyć od Piotra.

Niestety, wracając do domu, Janek zgubił owe 100 złotych, a co gorsza, musiał swoją drogą zwrócić Piotrowi pożyczone 20 zł.

Ile wynosi całkowita strata Janka?

IMIĘ DZIECKA.

Pani Kanarkowej urodziła się córeczka. Matka chciała ją nazwać Adelą, ojciec natomiast proponował Olgę. Ciotka Marta twierdziła, że dziecko winno być nazwane jej imieniem, a wuj Karol chciał dać jej imię Karolina. Proboszcz, zapytany o zdanie, odrzekł, że według niego, najpiękniejszem imieniem jest Teodora. Natomiast przyjaciółka pani Kanarkowej proponowała pogańskie imię Aldona. Pierwsza litera imienia, które wybrano dla dziecka, jest zawarta w „Adeli", druga w „Oldze", trzecia w „Marcie" i t. d., a ostatnia w „Aldonie". — Jak nazwano córeczkę pani Kanarkowej?

Dokończenie ze str. 26-ej

siaj coraz fantastyczniejsze nazwy perfum, nadawane przez samych fabrykantów, jak: „Szał", ‚Marzenie", „Skandal", „Kitsika" i t. p., a które kupującemu nic absolutnie nie wyjaśniają. Wobec tego, panie, zamierzające kupić flakon perfum czy wody kwiatowej, powinny uczynić to w porozumieniu ze znawcą tej dziedziny — chemikiem. Przypuszczalnie każda większa perfumerja czy drogerja znawcę takiego posiada, który powinien dobrać odpowiedni zapach do typu danej pani i jej wieku. Bo jeśli zastanawiamy się długo nad wyborem sukni lub kapelusza, czy innego drobiazgu to dlaczego kupując perfumy — miałybyśmy to czynić bezkrytycznie. A zatem pamiętajcie piękne panie, że inne perfumy stosować należy dla brunetek, inne dla blondynek, inne dla szczupłych a tęgich, inne dla sportsmenek, inne dla młodych lub starszych, inne dla pań o typie wschodnim i południowym, inne wkońcu dla energicznych a jeszcze inne dla marzycielek, realistek lub „wampów".

Danuta Derin-Kadulska.

W URZĘDZIE PASZPORTOWYM.



Urzędnik: — Czy może pan podać jakieś znaki szczególne?

Interesant: — Nie, a dlaczego?

Urzędnik: — No nic, tak mi się zdawało... („Ric et Rac").

PRZYKRY WYPADEK



Konwojent więzienny: — Zabrakło benzyny! Będziecie musieli wysiąść i popychać auto... („Ric et Rac").

To warto poznać..

NA SCENIE.

KRAKÓW. W teatrze krakowskim im. J. Słowackiego grane są obecnie dwie jednoaktowe tragedje Stanisława Wyspiańskiego „Sędziowie" i „Warszawianka" obie w reżyserji Stanisławy Wysockiej. „Sędziowie", jedno z arcydzieł genjalnego poety, wywołuje silne wrażenie dzięki bardzo dobrej grze całego zespołu. Szczególnie dużej miary kreacje dramatyczne dali pp. Sudecka (Jewdocha), Nowakowski W. (Samuel), J. Karbowski (Dziad) i J. Bobrowski (Natan). Bardzo dobrze zagrali pp. Kopijowska (Joas), Kondrat (Jukli), Burnatowicz (Urlopnik) i in. W „Warszawiance" główne role Marji i Chłopickiego grają pp. Jaroszewska i W. Nowakowski, Starym Wiarusem jest p. Białkowski, a inne role odtwarzają pp. Niedziałkowska, Czajkowski, Fabisiak i in.

TORUŃ. Z okazji setnej rocznicy urodzin wielkiego komedjopisarza, Michała Bałuckiego, Teatr Ziemi Pomorskiej wystawił jego „Gęsi i gąski" pomysłowej reżyserji p. Antoniego Piekarskiego, który równocześnie zagrał rolę Kłopotkiewicza. Doskonałemi jego partnerkami były pp. Bracka, Małkowska i Ładosiówna.

KALISZ. Teatr kaliski wystawił sensacyjną sztukę włoskich autorów „Krzyk" z Wacławem Malinowskim w roli prof. Odersa. Świetny aktor doskonale zagrał scenę ataku szału. Dobremi jego partnerkami były pp. J. Gozdecka i S. Gintelówna, a w rolach drugoplanowych pp. Ślaska, Klecki, Skulski, Fulda, Utnik i in. Ogólnie podobały się pomysłowe dekoracje p. Marji Skulskiej.

POZNAŃ. Teatr Polski w Poznaniu wystawił z dużem powodzeniem francuską komedję Vebera i Grossego p. t.: „Bęben". Dwie główne role znalazły kapitalnych odtwórców w osobach p. Janiny Porębskiej i dyr. Roberta Boelkego, którym dzielnie sekundowali pp. Czarnecka, Sachnowska, Żbikowska, Burbianka, Andrzejewska, Rosłan, Młodnicki, Domański.

CZĘSTOCHOWA. Świetna komedja Blizińskiego „Pan Damazy" cieszy się w Częstochowie dużem powodzeniem, zwłaszcza, że główne role grane są doskonale. Po raz pierwszy w roli tytułowej wystąpił na deskach teatru częstochowskiego p. Edward Gliński, którego świetnemi partnerkami były pp. Zarembina, Elsnerówna, Leśniewska, Baronówna. W roli rejenta wystąpił ulubieniec publiczności R. Wasilewski.

bal.

NOWE KSIĄŻKI.

JERZY MARLICZ: BEZDROŻA. Nowa powieść znanego powieściopisarza wykazuje wielki „krok naprzód". Marlicz opanował już doskonale trudną technikę pisarską powieści tak zbudowanych, jak zbudował swe „Bezdroża": Czytelnik wchodzi od razu w pełny tok akcji, w którym wciąż mówi się o tem, co było, ale czytelnik nie wie, co było — i dopiero zwolna i jakby przypadkowo dowiaduje się całości wydarzeń „przeszłych" w rozwoju powieści. Może dlatego powieść ta „trzyma" — trudno się oderwać od tej spokojnej, a jednak przyciągającej lektury, ale oderwać się trzeba, bo tom jest to potężny, a artystycznie wprost wydany przez Książnicę-Atlas. Na tle ucieczki z Barnaułu do Władywostoku grupy Polaków w dniach zrywania się rewolucji bolszewickiej, maluje autor i miłość rozmaitą i szpiegowską ze smakiem, a bez taniego efekciarstwa nakreśloną historję i oddaje świetnie nastrój bezbrzeży rosyjskich, rzuconych na akompanjament krwawych zrywów oszalałej rewolucji. Ta bolszewicka rewolucja już nieraz była powodem i treścią wielu polskich utworów powieściowych — Marlicza jest istotnie tylko akompanjamentem, stosowanym z umiarem i smakiem — wprost nie stykamy się z nią, ona tylko wciąż trwa w pobliżu i tem większa jest jej siła przerażenia. Typy kreślone z prostotą i prawdą psychologiczną, piękne nastroje patrjotyczne i to spodziewanie się bohaterki, jak to będzie, gdy wreszcie do wymarzonej ojczyzny dotrze, jaki tam będzie raj na ziemi... Dobrze więc, że bohaterów swych zostawił Marlicz w Władywostoku i nie kazał nam śledzić ich dalszej podróży do Polski — przez to nie skonfrontował z życiem ich pięknych myśli i uczuć o dalekiej ojczyźnie, a wiemy przecież, że w marzeniu wszystko ładniej „wychodzi"... Powieść naprawdę interesująca i świetnie napisana.

w. z.



Niedziela, 19 grudnia.

9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła parafjaln. w Sierpcu. znaia).
12.03 Poranek symfoniczny (z Po-
13.10 „Smocza jaskinia" — fragment z powieści „Straszny Dziadunio" M. Rodziewiczówny.
13.30 Muzyka obiadowa (ze Lwowa).
14.00 I audycja Wielkiego Konkursu Zimowego: „Przedstawiamy speakerów".
14.45 Audycja dla wsi.
15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci.
16.05 Koncert kameralny.
17.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
19.00 Słuchowisko „Nicolo Paganini" St. Nadzina.
19.50 Utwory Feliksa Nowowiejskiego — koncert z Torunia.
21.15 „Kukułka Wileńska".
22.00 Recital śpiewaczy Lorenzo Conati.
22.25 Jan Brahms: Sonata G-Dur op. 78.

Poniedziałek, 20 grudnia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 „Od warsztatu do warsztatu.
15.45 Z pieśnią po kraju (ze Lwowa).
16.15 Trio Salonowe Polskiego Radja.
17.00 „Gigantyczny teleskop" — odczyt.
17.15 Koncert chóru bułgarskiego „Gusla".
18.10 Duety i tercety fortepianowe (z płyt).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 „Dyskutujmy: „Matka i córka".
20.00 „Wiedeń stary i młody" — koncert rozrywkowy.
22.00 „Arcydzieło muzyki symfonicznej" — V audycja.

Wtorek, 21 grudnia.

11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Sergjusz Rachmaninow: Fragmenty z Suity na dwa fortepiany op. 17 (z płyt).
15.45 Radjo w szkole — transmisja ze szkoły powszechnej.
16.15 Koncert orkiestry dętej.
17.15 Koncert kameralny w wyk. Warszawskiego Kwartetu
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 „Najpracowitszy pisarz" (J. Ignacy Kraszewski) — wieczór literacki.
19.30 „Polska twórczość chóralna", IV audycja.
20.00 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
21.15 Koncert symfoniczny ze Lwowa.
22.15 Muzyka lekka (płyty).

Środa, 22 grudnia.

11.15 Audycja dla dzieci: „Przed gwiazdką".
15.45 „Napoleon Bonaparte" — pogadanka.
16.00 „Uczmy się mówić".
16.15 Koncert popularny w wyk. orkiestry mandolinistów.
17.00 Kampanja wojenna Batorego — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 Hygiena skóry — pogadanka.
18.10 Chińskie motywy (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.20 „U grobu Bacha" — reportaż z kościoła św. Jana w Lipsku.
19.35 „Determinizm i logika trójwartościowa" — odczyt.
20.00 Melodje filmowe (płyty).
21.00 Koncert chopinowski w wyk. Pawła Lewieckiego.
21.45 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji.
22.00 Koncert wieczorny.

Czwartek — dn. 23. XII.

11.15 Śpiewajmy kolędy — audycja dla dzieci.
11.40 Antonio Vivaldi — koncert skrzypcowy g-moll.
15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą
16.15 Muzyka popularna.
17.00 „Polska książka naukowa w roku ubiegłym" — pogadanka.
17.15 Recital fortepianowy Henryka Sztompki.
18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej.
19.00 Teatr Wyobraźni: „Miłość i śmierć Barbary".
19.40 Manuel de Falla: Fragmenty ze suity baletowej.
20.00 „Wiedeńskie walce" — operetka w 3-ch aktach.
21.45 „Nowy akademik — Jan Lorentowicz" — szkic literacki.
22.00 Koncert kameralny.

Piątek — dn. 24. XII.

11.15 „Ubieramy choinkę" — audycja dla dzieci.
15.45 Kolędy — koncert z Łodzi.
16.00 „Panajezusowa Kolęda" — słuchowisko regjonalne.
16.40 Suita kolędowa w wyk. Tria Salonowego (ze Lwowa).
17.00 „Adamowe" (dzień urodzin i imienin A. Mickiewicza). — słuchowisko.
17.30 Boże Narodzenie w muzyce fortepianowej — koncert.
18.00 Kolędowa opowieść.
18.50 Koncert Orkiestry P. R.
20.20 Przemówienie wigilijne Prymasa Polski ks. kardynała Hlonda.
20.30 „Nasza choinka" — audycja ze Lwowa.
21.15 Koncert w wyk. Małej Orkiestry P. R.
23.00 „U braci Słowian — po kolędzie" — audycja muzyczno słowna.
23.45 Pasterka z kościoła wiejskiego, poprzedzona reportażem.

Sobota — dn. 25. XII.

9.00 Koncert rozrywkowy w wyk. zesp. salonowego.
10.15 Transmisja uroczystego nabożeństwa z Katedry Poznańskiej.
12.03 Wesoła audycja dla dzieci (ze Lwowa).
12.30 Koncert Orkiestry Adama Hermana.
13.30 Humor w piosence i melodji (płyty).
14.30 „Boże Narodzenie w Korkożyszkach" (audycja z Wilna).
15.00 Koncert.
16.45 „Stała się rzecz wielce dziwna" — szopka staropolska.
17.30 Muzyka taneczna.
18.55 Audycja dla Polaków zagranicą: „Wieczór pod choinką".
19.25 Koncert muzyki religijnej — Chór Kaplicy Sykstyńskiej i Benjamino Gigli. Transmisja z Watykanu.
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.30 Z kolędą po świecie — reportaż.
22.15 „Kalejdoskop" — audycja muzyczna.
23.00 Muzyka taneczna (płyty).

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.